SCENA POLSKA
NEDERLAND
POOLS PODIUM

Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

nr 2 (126) / 2026

ISSN 1233-7633

FESTIVAL OF POLISH FILMS IN THE NETHERLANDS POOLS PODIUM PRESENTS

12e POOLSE FILMLENTE

12. POLSKA WIOSNA FILMOWA

14 JUNI 2026
UTRECHT – SLACHTSTRAAT
FILMTHEATER

WWW.SLACHTSTRAAT.NL WWW.SCENAPOLSKA.NL

Fundacja “hOlendry”

Fundacja „hOlendry” powstała w maju 2013 roku w Polsce. Celem fundacji jest promocja kultury Niderlandzkiej w Polsce oraz działalność oświatowa, rekreacyjno-zdrowotna, sportowa i kulturalna w zakresie rozwoju, wspierania i promocji zdrowego trybu życia.

Fundacja “hOlendry”
www.facebook.com/HolendryNowaRoza
www.nowaroza2.wordpress.com
www..scenapolska.nl

Jesteśmy otwarci na współpracę, prosimy o kontakt mailowy:
nowaroza2@gmail.com
poolspodium@gmail.com

Fundacja “hOlendry”
Numer konta BZ WBK: 88 1090 1854 0000 0001 2126 4460
IBAN: PI88109018540000000121264460, SWIFT / BIC code: WBKPPLPP

Zofia Schroten-Czerniejewicz
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy,

Oddajemy w Państwa ręce kolejny numer naszego kwartalnika. Dla części Czytelników będzie to być może pierwsze spotkanie z Sceną Polską, dla naszej redakcji jest to już numer 126 – efekt ponad trzydziestu lat nieprzerwanego wydawania pisma.

Wszystkie wcześniejsze wydania w formacie PDF są dostępne na stronie www.scenapolska.nl w zakładce „Kwartalnik", a najnowszy numer można zawsze znaleźć w zakładce „Aktualności". Serdecznie zapraszamy do lektury.

A jest co czytać. Obok naszych stałych autorów witamy na łamach nowe „pióra" – doświadczonych dziennikarzy i znawców mediów: Krzysztofa Lewandowskiego oraz Zbyszka Kowalskiego. Cieszymy się, że dołączyli do naszego zespołu redakcyjnego.

W tym wydaniu sporo miejsca poświęcamy filmowi, ale nie zabrakło również tekstów o innych dziedzinach sztuki – także tej kulinarnej. Ponieważ trwa lato, zapraszamy Państwa także na plenerowe wydarzenia muzyczne w Dworze Skrzynki oraz do odwiedzenia pięknych, kultowych miejsc na koncertowej trasie Alicji i Dominika – duetu z Belgii, nad którego polskim tournée patronat medialny objęła Scena Polska w Holandii.

Choć cieszymy się wakacyjnym czasem, myślimy już o kolejnych wydarzeniach. Pod koniec roku planujemy w Holandii wyjątkową niespodziankę teatralno-muzyczną. Więcej szczegółów zdradzimy w jesiennym wydaniu kwartalnika, choć zdjęcie obok już dziś uchyla rąbka tajemnicy.

Życzymy Państwu pięknego lata, udanego wypoczynku i inspirującej lektury.

Redakcja

ZOSTAŃCIE PRZYJACIÓŁMI SCENY POLSKIEJ

Wpłacając dobrowolną kwotę na konto Pools Podium zapewnicie trwałość istnienia pisma i ciągłość jego lektury oraz informacje o wszystkich imprezach organizowanych przez Scenę Polską w Holandii i w Polsce.

Jesteśmy dla Was i dzięki Wam!

Konto: NL85 ABNA 0518 5444 43 SWIFT/BIC: ABNANL2A

Można też przekazać dotację przez link na stronie: https://scenapolska.nl lub

Z wyrazami wdzięczności i nadziei na dalsze wspólne lata,
Redakcja „Sceny Polskiej"

Spis treści

Zofia Schroten-Czerniejewicz
Polska Wiosna Filmowa – kiedy kino staje się miejscem spotkań....4

Stanisław Zawiśliński
Krzysztof Kieślowski: inspirujący po latach....5

Konrad J. Zarębski
Paradoksy Andrzeja Wajdy (niektóre)....6

Zbyszek Kowalski
Polacy na Targach Sztuki w Austrii....8

Anna Kos
Burzliwe i fascynujące dzieje jagiellońskich arrasów....10

Krzysztof Lewandowski
Klątwa za kradzież książki....12

Andrzej Skibniewski
Moje trzy pierwsze miłości i pierwsze wernisaże....14

Jerzy Skoczylas
Ostatni listonosz....15

Vladek Juszkiewicz
Mietek Szcześniak – BROTHERS....16

Marek Grądzki
Lato, lato wszędzie!....18

Alek Silber
Zamczysko....19

Dwór Skrzynki zaprasza na lato pełne muzyki, kina, sztuki i smaków....22

SCENA POLSKA | Nr 2(126)/2026 |ISSN 1233-7633
REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.
WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com
Stichting Pools Podium, **ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.**
www.scenapolska.nl |www.facebook.com/scenapolska
ZDJĘCIA: Archiwum SPP
SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet |Mac Map
OKŁADKA: Plakat autorstwa Andrzeja Pągowskiego
DRUK: Drukarnia DS Marcin Witecki

W hołdzie Andrzejowi Wajdzie i Krzysztofowi Kieślowskiemu

Polska Wiosna Filmowa – kiedy kino staje się miejscem spotkań

Choć Holandia liczy niespełna 18 milionów mieszkańców, organizuje około 140–160 festiwali filmowych rocznie. W Polsce, kraju ponad dwukrotnie większym, odbywa się ich około 60–90. Ta różnica pokazuje, jak silnie kultura filmowa jest wpisana w życie społeczne Holandii.

Jedną z osób, które miały na to ogromny wpływ, jest holenderski reżyser Jos Stelling. Znany z autorskiego kina, od kilkudziesięciu lat buduje także miejsca, w których film staje się przestrzenią spotkania i dialogu. W Utrechcie stworzył wyjątkową sieć kin studyjnych: najpierw rozwinął Springhaver, następnie otworzył Louis Hartlooper Complex, a po zamknięciu legendarnego kina ‚t Hoogt doprowadził do jego odrodzenia jako Slachtstraat Filmtheater, otwartego w 2022 roku.

To właśnie Slachtstraat staje się dziś ważnym miejscem dla polskiej kultury filmowej w Holandii. W czerwcu 2026 roku odbyła się tam 12. Polska Wiosna Filmowa, podczas której publiczność oglądała filmy Andrzeja Wajdy i Krzysztofa Kieślowskiego oraz spotkała się z Martą Kieślowską-Hryniak i reżyserem Cezarym Orłowskim. Była to kolejna odsłona cyklicznego przeglądu polskiego kina, organizowanego przez Scenę Polską – Pools Podium.

Dla Polskiej Sceny w Holandii Slachtstraat ma jednak znaczenie większe niż tylko miejsce kolejnych festiwalowych pokazów. Ambicją organizatorów jest stworzenie tutaj stałego domu polskiego filmu – przestrzeni regularnych spotkań z polską kinematografią, rozmów z twórcami, premier, debat i wydarzeń integrujących zarówno Polonię, jak i holenderskich widzów zainteresowanych polską kulturą.

To miejsce ma ku temu wyjątkowe predyspozycje. Slachtstraat nie jest zwykłym multipleksem, lecz nowoczesnym kinem studyjnym wpisanym w życie historycznego centrum Utrechtu. Kameralne sale, starannie dobierany repertuar, kawiarnia i restauracja oraz atmosfera sprzyjająca dyskusjom sprawiają, że film nie kończy się wraz z napisami końcowymi. Właśnie taki model kina od lat rozwija Jos Stelling – kina jako miejsca spotkania ludzi, idei i kultur.

Jeżeli projekt Polskiej Sceny będzie rozwijany, Slachtstraat może stać się jednym z ważniejszych adresów polskiego filmu w Holandii. Byłoby to naturalne rozwinięcie tradycji Polskiej Wiosny Filmowej, która od trzydziestu lat promuje polskie kino w Holandii i konsekwentnie buduje jego wierną publiczność.

Od wielu lat działalność Sceny Polskiej – Pools Podium, promującej polskie kino w Holandii, wspierają Polski Instytut Sztuki Filmowej oraz Polska Organizacja Turystyczna w Amsterdamie. W tym roku do grona partnerów dołączyły również Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych oraz Warszawska Szkoła Filmowa, poszerzając zakres współpracy na rzecz promocji współczesnego polskiego kina.

Slachtstraat Filmtheater włączyło się w tę inicjatywę także w wyjątkowy sposób, udostępniając swoją przestrzeń na prezentację plakatów z jedenastu edycji Polskiej Wiosny Filmowej. Autorem wszystkich prac jest wybitny polski grafik Andrzej Pągowski, a wystawę przygotowano ze zbiorów Sceny Polskiej – Pools Podium. Ekspozycja stała się nie tylko dopełnieniem festiwalu, lecz także świadectwem wieloletniej obecności polskiego filmu i polskiej kultury w Holandii.

Zofia Schroten-Czerniejewicz

Slachtstraat – Nicolas Schroten, Zofia Schroten-Czeniejewicz, Cezary Orłowski, Marta Kieślowska-Hryniak, Is Hoogland, Benjamin Gijzel fot. Vidde M.

Krzysztof Kieślowski: inspirujący po latach

Niedawno minęło 30 lat od śmierci Krzysztofa Kieślowskiego (1941–1996). Szmat czasu... A jednak pozostaje on – obok m.in. Andrzeja Wajdy, Stanisława Lema czy Ryszarda Kapuścińskiego – jednym z najbardziej rozpoznawalnych w świecie polskich twórców kultury. Jego spuścizna nadal promieniuje.

Stanisław Zawiśliński

Znakomity włoski reżyser Paolo Sorrentino przed ubiegłoroczną wenecką premierą swojego ostatniego filmu „La Grazia" powiedział, że inspirował się „Dekalogiem" Kieślowskiego. Z kolei na tegorocznym festiwalu w Cannes zaprezentowano „Historie równolegle" – swego rodzaju wariację Asghara Farhadiego na temat „Krótkiego filmu o miłości".

Kieślowski wciąż zaciekawia swoimi dokonaniami tych, którzy szukają odpowiedzi na ważne egzystencjalne pytania i zastanawiają się nad sensem naszych poczynań. W dzisiejszych czasach, gdy nowe technologie zagrażają prywatności i intymności, jego filmowy język i sposób komunikowania się z publicznością pokazuje, że najważniejsze historie to te, które rozgrywają się między ludźmi w codzienności. Reżyser znakomitych dokumentów (nakręcił ich 25) i ponad dwudziestu fabuł (m.in. „Amatora", „Trzech kolorów") traktował kino jako narzędzie poznania i zaproszenie do rozmowy. Uważał, że film to nie tylko obraz, ale także sposób myślenia – o etyce, odpowiedzialności, dokonywanych każdego dnia wyborach. Nad całą jego twórczością unosi się odwieczne, umiejętnie i nienachalnie stawiane pytanie: jak żyć? To go interesowało.

Nie zajmowały go masy, tłumy, rozrachunki z historią czy martyrologia – „grzebał" i szukał dramaturgii w codzienności i w życiu zwykłych ludzi. Właśnie człowiek rzeczywisty – nie wirtualny, skrojony pod potrzeby aktualnych mód i rynku – zderzający się boleśnie z władzą, społeczeństwem, rodziną, a także własnymi niedoskonałościami i sprzecznościami, znajdował się w centrum jego zainteresowań. On sam twierdził, że wyznaje tę

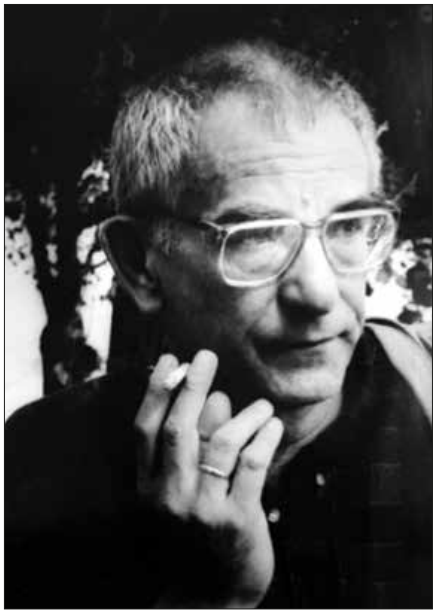

niemodną wiarę – w człowieka. Przemycał ją konsekwentnie w swoich naznaczonych skrywanym autobiografizmem filmach.

W historii X Muzy ustawiono go w jednym rzędzie z Bergmanem, Fellinim, Antonionim, Tarkowskim. Podobnie jak oni wyznaczył ambitnemu kinu artystycznemu nowy szlak, którym podążać, z różnych powodów, jest coraz trudniej. Krótko przed śmiercią mówił swoim studentom: „We współczesnej sztuce za dużo już zostało odsłonięte, odkryte, może teraz trzeba coś zakryć...". Twierdził też, że nie należy za wszelką cenę poszukiwać nowości – warto sięgać po to, co stare, i szukać sposobów współczesnego odzwierciedlania. Był humanistą i jakkolwiek staroświecko by to słowo dzisiaj nie brzmiało, wydaje mi się najbardziej adekwatne do jego postawy i twórczości.

Trzy dekady po jego odejściu mamy nowe społeczne i polityczne konteksty, w których funkcjonujemy – tzw. sztuczna inteligencja, robotyzacja, chaos informacyjny, spotęgowane depresje – a mimo to pytania, które Kieślowski stawiał w najpierw w studenckiej etiudzie „Urząd", potem np. w „Gadających głowach", „Przypadku", „Dekalogu" i „Trzech kolorach" pozostają aktualne. Czy dzisiaj nasze decyzje są wolne? A może są zdeterminowane medialnym naciskiem i przypadkiem? Jak ocalić empatię w świecie, gdzie parcie na materialny sukces i szybki efekt wygrywają z rozwagą, roztropnością i uczuciami? Wyciszone, kontemplacyjne kino Kieślowskiego zachęca do takich refleksji. Jako punkt odniesienia – jest nam dzisiaj, w globalnym zgiełku i chaosie, potrzebne bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Dlatego warto powracać do jego twórczości. Widzowie wciąż mogą odnaleźć w jego filmach lustro swoich zachowań, dylematów i decyzji. I zastanowić się: czy potrafimy dostrzec obok siebie człowieka, gdy światem zaczyna rządzić algorytm?

***

Przez lata, które minęły od śmierci Kieślowskiego, odbyły się dziesiątki najróżniejszych imprez poświęconych jego twórczości. I odbywają się nadal, z udziałem nowej publiczności. Powstały książki, albumy i monografie, strony internetowe, filmy, spektakle, utwory muzyczne i plastyczne; szkoły i nagrody jego imienia. Jest też festiwal i archiwum w niewielkim Sokołowsku, gdzie spędził kilka lat swojego dzieciństwa, ale nie ma Instytutu Kieślowskiego …

Kilkanaście lat temu wyszedłem z inicjatywą, żeby taki instytut stworzyć jako szeroko dostępną, multimedialną placówkę państwową (Szwedzi mają Instytut Bergmana, Włosi – Felliniego). Po to, by pielęgnować pamięć o tym wybitnym Polaku i spojrzeć na jego spuściznę całościowo. Dostrzec nie tylko filmy, ale i pozostawione teksty, pisane sporadycznie dzienniki, notatki, zdjęcia, wywiady. Dopiero wtedy lepiej zrozumiemy skąd brała się jego charyzma, jak przebiegała jego kariera, skąd się wzięły sukces i pośmiertna legenda. Moim zdaniem, między innymi z tego, że wiódł życie zgodne z twórczością. To uczyniło go wielkim artystą. Był nim z pewnością, choć sam uważał się za rzemieślnika... ■

Paradoksy Andrzeja Wajdy (niektóre)

Andrzej Wajda, najwybitniejszy polski reżyser filmowy, przyszedł na świat sto lat temu, 6 marca 1926 roku w Suwałkach, zmarł 90 lat później, 9 października 2016 roku w Warszawie. Sejm Rzeczypospolitej ogłosił bieżący rok Rokiem Wajdy, wypełniony obchodami rocznicowymi i panoramą jego filmów.

Konrad J. Zarębski

A przecież Wajda był także reżyserem teatralnym i telewizyjnym, przewodniczącym Stowarzyszenia Filmowców Polskich, senatorem (w sejmie kontraktowym) i szefem zespołu filmowego X. Ale ten bogaty życiorys był zarazem pełen paradoksów. O niektórych pozwolę sobie opowiedzieć.

Swoją drogę artystyczną Andrzej Wajda rozpoczął od malarstwa. W 1946 roku podjął studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Na drugim roku dołączył do Grupy Samokształceniowej, prowadzonej przez Andrzeja Wróblewskiego (to jego wystawę oglądamy w filmie „Wszystko na sprzedaż"). Grupa wystąpiła przeciwko jednemu z profesorów, oskarżając go o formalizm, czyli sprzeniewierzenie się obowiązującemu socrealizmowi. Ale uczelni nie zależało na skandalu. Profesor wyjechał do Wrocławia, gdzie zajął się organizacją tamtejszej szkoły sztuk plastycznych, a buntowników zawieszono. Wróblewski jako najzdolniejszy szybko wrócił na studia, inny przesiedział rok w domu, a Wajda i Konrad Nałęcki (późniejszy twórca serialu „Czterej pancerni i pies") zostali karnie przeniesieni do Szkoły Filmowej w Łodzi. Echa tamtego buntu odnajdziemy w „Powidokach", ostatnim filmie Wajdy, opowiadającym o wyklętym przez komunistyczne władze Władysławie Strzemińskim.

Lata 50. w Szkole Filmowej były okresem tyleż malowniczym, co dziwacznym. Wajda niby ukończył szkołę w 1953 roku, ale dyplom uzyskał dopiero w 1960 roku, bo ani „Pokolenia" (Nagroda Państwowa!), ani „Kanału" (Srebrna Palma w Cannes ex aequo z – uwaga! – „Siódmą pieczęcią" Bergmana), ani „Popiołu i diamentu" (do czasu „Idy" najbardziej znanego na świecie polskiego filmu) Szkoła nie chciała mu uznać. Zdziwienie? Niekonieczne. Sam Wajda zgodził się, by 800 m (25 minut) „Kanału" wyreżyserował Kazimierz Kutz w ramach swego absolutorium. Kiedy film trafił do Cannes, podpisany jako jedyny twórca filmu nabrał wody w usta. W efekcie późniejsza pedagogiczna kariera Kutza (w latach 80. mógł zostać rektorem katowickiej filmówki) rozsypała się w proch.

Powieść Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament" uważana była przez komunistów jako mit założycielski PRL – obowiązkowa lektura szkolna i setki wznowień mimo wątpliwej reputacji autora, działacza KOR-u. Wielu próbowało ją przenieść na ekran, udało się dopiero Andrzejowi Wajdzie. Zamówił scenariusz u Andrzejewskiego, nie wiedząc jeszcze (to wyszło na jaw dopiero w 1990 r.), że pisarz opisywał autentyczne zdarzenia z Ostrowca Świętokrzyskiego, w oparciu o materiały, które dostarczyła mu bezpieka. Ale nadszedł październik 1956 roku i Andrzejewski zmienił wymowę opowieści: już nie chodziło o błądzącego po wojnie żołnierza podziemia, który pod wpływem wrogiej

ideologii zabija ideowego komunistę, gotowego wznieść kraj z wojennych zniszczeń.

Bohaterem nowej wersji nie był już działacz komunistyczny, ale jego zabójca – ideowy żołnierz AK, któremu honor nie pozwala wycofać się z przyjętego zlecenia. Jego finałowa śmierć na wysypisku przestała być „śmiercią na śmietniku historii", a stała się „niepotrzebną ofiarą procesów historycznych, wobec których jednostka pozostaje bezbronna". Film kręcono we Wrocławiu, w zasadzie bez jakiejkolwiek kontroli władzy (podróż pociągiem do Wrocławia z Warszawy trwała wówczas ponad 10 godzin, więc urzędnikom zwyczajnie się nie chciało tam jechać).

Najpierw na planie pojawił się Zbigniew Cybulski – prosto z wakacji w Paryżu, w wojskowej kurtce amerykańskiej i dżinsach, w dodatku z ciemnych okularach i zafascynowany neurotycznym aktorstwem Jamesa Deana, właśnie odkrywanego przez Europę (zachodnią). Nie tylko odmówił założenia przygotowanego dla niego kostiumu, ale przekonał Wajdę do zaakceptowanie swego współczesnego stroju, stając się tym samym pomostem między pokoleniem Kolumbów, a współczesną, popaździernikową młodzieżą, czego reżyser pierwotnie nie przewidywał. Co więcej, podczas realizacji Cybulski był bardziej zainteresowany scenariuszem do „Do widzenia, do jutra", który pisał z Januszem Morgensternem – to miał być debiut reżyserski obecnego asystenta Wajdy. Pracowali nad nim nocami, dopracowując – niejako przy okazji – poszczególne sceny z „Popiołu…". Tak powstała najbardziej kultowa scena w polskim kinie – kiedy Cybulski z Adamem Pawlikowskim wspominają poległych przyjaciół nad szklaneczkami płonącego spirytusu.

Wajdy przy tym nie było, a scena weszła do filmu z jedną drobną zmianą – do spirytusu dodano benzyny, by płomień był mocniejszy. Kiedy festiwal w Wenecji upomniał się o „Popiół i diament", władze kinematografii, pomne wymowy literackiego pierwowzoru, zgodziły się bez wahania, na „nieoglądanego". Ale kiedy festiwal miał się zaczynać, Warszawa zorientowała się, że zgłoszono film o odmiennej od pierwowzoru wymowie i wycofała „Popiół i diament" z konkursu -= choć już nie z programu imprezy. W efekcie jeden z najważniejszych polskich filmów w historii dostał jedynie nagrodę dziennikarzy, jedyne, na co mógł liczyć film spoza konkursu.

Zmarły niedawno Stanisław Janicki przez 50 lat prowadził rozmowy z Andrzejem Wajdą o jego planach filmowych i zaniechanych projektach, których efektem jest serial „Marzenia są ciekawsze" (1998). Wśród filmów, które nie miały powstać, jest „Człowiek z marmuru" – historia pewnej absolwentki Szkoły Filmowej, Agnieszki (w domyśle Osieckiej, jakiś czas studiujacej w filmówce), która kręci film o przodowniku pracy z lat 50. Ostatnia scena pokazuje odnalezionego przez filmowców Birkuta (tak, zbieżność nazwisk nieprzypadkowa) na egza-

minie maturalnym w 1962 roku. Tyle że wówczas wiatr październikowej odwilży się kończył i władze odmówiły zgody na realizację.

Ale w połowie lat 70. wiatr przemian się odwrócił i władze kinematografii wydały zgodę na powstanie filmu „z Hutą Katowice w herbie". I tak wracamy do Agnieszki i poszukiwanego przez nią Birkuta, Matury wprawdzie nie ma, Huty Katowice też jest niewiele, ale spełniła swoją rolę jako klucz do realizacji. Ale kiedy film był gotów, w salonach władzy wybuchła panika. Przecież film opowiada o tzw. trudnych czasach PRL, okresie błędów i wypaczeń, nadużyciach władzy, a główny bohater kończy jako pomnik w piwnicach Kozłówki, gdzie mieści się Muzeum Socrealizmu, zaś jako żywy człowiek – był ofiarą Grudnia 1970, który wyniósł do władzy obecną ekipę.

Zaczęły się problemy – co bardziej wnikliwych dziennikarzy nie chciano wpuścić na pokazy prasowe, a co celniejsze teksty – jak recenzję Zygmunta Kałużyńskiego dla „Polityki" – zatrzymała cenzura. Ale ktoś pomyślał, że przecież nastawieni sceptycznie do władzy Polacy nie pójdą na film o przodowniku pracy, więc „Człowiek z marmuru" wszedł na ekrany w normalnej ilości kopii (normalnej, czyli bez zwyżki należnej Wajdzie jako mistrzowi kina). Do tego doszły plotki, że film jest nieprawomyślny. No i stało się – przed kinami ustawiły się kolejki, a film o przodowniku pracy zebrał ponad dwa miliony widzów, co także w tamtych czasach – przy 20 kopiach – było godnym podziwu wyczynem.

Na festiwalu w Gdańsku jury ostentacyjnie nie dostrzegło filmu, zaś dziennikarze przyznali swoją nagrodę na schodach między salą projekcyjną i kawiarnią – była to cegła, owinięta w papier pakowy z protokołem obrad Jury Dziennikarzy. Część podpisanych musiała odejść z zawodu, inni stracili swoje funkcje w redakcjach, wszyscy mieli spotkania z ubekami. „Człowiek z marmuru" trafił na światowe festiwale z rocznym poślizgiem, w Cannes dostał nagrodę FIPRESCI – pokazany poza konkursem na nic innego nie mógł liczyć.

Co innego cztery lata później, kiedy na dzień przed festiwalem dotarła do Cannes „jeszcze ciepła" kopia „Człowieka z żelaza". Andrzej Wajda otrzymał Złotą Palmę, światowa prasa pisała o narodzinach nowego gatunku filmowego – docudramy [dramatu dokumentalnego]. A w cenionym miesięczniku „Image et son – La Revue de Cinéma" ukazał się rysunek podium, na którym stoją – na szczycie papież Jan Paweł II, obok Lech Wałęsa, a na wolne miejsce zmierza Andrzej Wajda ze szpulą filmu pod pachą.

Kadr z filmu „Popiół i diament"

Art Expo Graz

Polacy na Targach Sztuki w Austrii

Zbyszek Kowalski

Pod koniec kwietnia w austriackim Grazu kilku polskich artystów pokazało się z dobrej strony. Jednym z nich był Marek Jerzy Nowakowski, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu (dzisiejszy Uniwersytet Artystyczny). Marek zajmuje się rzeźbą figuratywną i animalistyczną, głównie w brązie, w technologii wosku traconego. Odlewy z brązu wykonuje samodzielnie. Rzetelnie szuka formy, by otwierać naszą wyobraźnię.

Mieszka w drewnianym domu olęderskim pod Nowym Tomyślem, a jego stodoła przez kilka dekad zamieniła się w pracownię rzeźbiarską, jaką mało kto może sobie wyobrazić. Nie każdy może tam wejść, bo to samotnia artysty, miejsce ciężkiej pracy, również fizycznej, gdy mowa o rzeźbiarzu. Są tam maszyny do obróbki skrawaniem, są przeróżne urządzenia i piece, bez których rzeźbiarz nie byłby niezależnym artystą. Marek rzadko mówi o sobie. Swoje twórcze sekrety powierza żonie Marcie Widajewicz-Nowakowskiej, też absolwentce poznańskiej ASP, artystce od architektury wnętrz.

– *Czy czujesz się marszandką swojego męża?* – zapytałem Martę, gdy odwiedziłem ich wiosną.

– *Poniekąd tak* – odpowiedziała – *ale nie mam w tym doświadczenia innego, prócz opieki nad tym, co tworzy Marek.*

A Marek rzucił zza kredensu: „Marta to moja prawa ręka". Pięknie się uzupełniają.

Na swojej stronie Marek (www.marekjerzynowakowski.com) zwierzył się tak:

„Próba zamknięcia myśli, czasu i własnych pragnień w bryle, wosku, a następnie przetopienia jej w brąz. To z pewnością śmiałość, nie zawsze godna rzeźby. Jednak próba poszukiwania formy idealnej, zaskakującej, a może intrygującej, to akt odwagi."

I pojechali na targi Art Expo Graz. 900 km z rzeźbami w przyczepce

Graz to drugie co do wielkości miasto w Austrii z ambicjami kulturalnymi, otoczone górami, słynie z turystyki i winiarni. Organizatorzy targów sztuki pochodzą z sąsiedniej Słowenii. Targi urządzono w starym pofabrycznym budynku cegielni Seifenfabrik. Obiekt jest bardzo ciekawy, położony tuż nad rzeką Murą.

Na targi zjechało około 250 wystawców, przede wszystkim indywidualni artyści i kilka galerii. Przez trzy dni przewinęło się około siedmiu tysięcy zwiedzających. Organizatorzy zadbali o dodatkowe atrakcje: koncerty, wykłady i pokazy.

– *Myślę że to właśnie przyciągnęło więcej ludzi* – mówi Marta Widajewicz-Nowakowska – ale nie wiem, czy wszyscy byli zainteresowani sztuką. Niektórzy przechodzili obok, nie zawieszając nawet wzroku na pracach artystycznych. Tak jakby przyszli sami się wystawić, bardzo ciekawy widok – uśmiecha się Marta – ale mieliśmy też pożyteczne rozmowy. Młoda dziewczyna z gitarą zainteresowana rzeźbą i technologią, praktykująca. Albo na przykład pewna pani, która ileś razy wracała do rzeźby, przyglądała się i pytała o różne rzeczy.

– *Podszedł też do mnie* – mówi Marek – *pewien austriacki rzeźbiarz. Przyjrzał się moim pracom, mieliśmy wzrokowe porozumienie, pogadaliśmy dłuższą chwilę i powiedział coś miłego: „wiem, ile wkładasz pracy w swoje dzieła". To naprawdę miłe, zwłaszcza gdy wspominam poprzednią moją wystawę na targach w Paryżu, kilka lat temu. Tam dominowały agencje i galerie, mniej było indywidualnych twórców. Ale trzeba się wystawiać, bo sztuka potrafi mącić w głowach, nawet po czasie. Jesienią pojadę z rzeźbami do Brukseli na podobną imprezę jak w Grazu.*

Z pewnością targi nie były wielkim sukcesem sprzedażowym dla artystów – dodaje Marta. –Większość nie sprzedała nic, choć może byli jacyś szczęściarze. Podziwiać można było wiele prac wartych uwagi, ale też mniej ciekawych. Z pewnością jest to forma biznesu i najwięcej zyskali organizatorzy, jednak doceniamy z Markiem to przedsięwzięcie. Właściwie po raz pierwszy braliśmy udział w takich targach, bo poprzednio, kilka lat temu, jedna z galerii wystawiła tylko trzy prace Marka.

Co ciekawe – mówi Marta – grupa polskich wystawców w Grazu zintegrowała się. Oprócz Marka, rzeźbiarza, były też dwie malarki niemieszkające w Polsce oraz Rosjanka, która od lat żyje nad Wisłą, maluje i tka.

Zdjęcie pożegnalne wszystkich uczestników Art Expo Graz 2026 (Marek w centrum)

Marek wystawił kilkanaście większych i kilka małych prac, w brązie. Rzeźby różnorodne, pochodzące z różnych cyklów lub pojedyncze. Cykl nietoperzy, współlokatorów w Marka pracowni-stodole, pojawił się już w jego dyplomie, ale co jakiś czas wraca. To wiszące rzeźby nawiązujące formą do pierwowzoru, ale kompozycyjnie abstrakcyjne. Praca „Queen" to rzeźba o dwóch geometrycznych połączonych bryłach i gładkiej powierzchni, ale z dwoma twarzami, patynowana na czarno. W zupełnej opozycji, co do formy, stoi „She". To właściwie rodzaj wydłużonej maski. Tym razem patyna jest malarska aż do turkusu. W podobnej konwencji maski jest też „Pajac" oraz „Maska grecka". Cykl masek pojawiał się już nie raz w Marka twórczości.

Powracającym motywem jest również tors. W Grazu był „Tors" – tors kobiecy z poprzecznie z tyłu umieszczonym ostrzem kosy. Jedynie rzeźba „Vassal" wystawiona była w gipsie, czyli materiale przejściowym.

Marek dzięki opanowaniu technologii odlewniczej w brązie może sam panować nad całym procesem twórczym. Stosuje głównie technologię wosku traconego, w której ograniczeń co do kształtowania rzeźby jest chyba najmniej. Wystawa na targach pokazała, jak sama patyna może być różnorodna i wielokolorowa, niemal malarska i jest dodatkowym narzędziem decydującym o charakterze rzeźby.

Cała ekspozycja Marka była spójna ze względu na stalowe postumenty, prostopadłościenne bryły o różnych proporcjach dostosowane do rzeźb.

Ekipa polska, od lewej: Maria Trattner, Jagoda Niebiesky, Marta Widajewicz-Nowakowska, Marek Jerzy Nowakowski, Vavara Kurakina

Wyprawa do Grazu, oddalonego o 900 km od naszego domu, z całym tym rzeźbiarskim balastem, była dużym wyzwaniem. Do ostatniej chwili ważyły się losy, czy samochód z naszą przyczepą to już przewóz ciężarowy i czy podlega opłacie e-toll. Gdziekolwiek parkowaliśmy, długość naszego zaprzęgu nie mieściła się w normach. W samym Grazu pracownik stacji benzynowej okazał dobre serce i tam bazowaliśmy, za jedyne 5 euro za dobę. Po tej eskapadzie Marek wyciągnął wniosek, że trzeba robić dmuchane rzeźby, jest to uzasadnione logistycznie i też chyba bardzo dobrze mieści się w obecnych trendach sztuki – twierdzi Marta.

Mimo różnych przeszkód w podróży Marek i Marta udział w targach Art Expo Graz uważają za udany. Zdobyli doświadczenie, chcieliby je wykorzystać przy kolejnej artystycznej wyprawie, pod warunkiem, że koszty jej realizacji ich nie przerosną.

Do zobaczenia na Brussels Expo, 20–22 listopada. ■

„Maska Grecka" – brąz (32 cm), w tle Nietoperz" – brąz (40 cm)

Marek Jerzy Nowakowski, artysta rzeźbiarz, w tle jego prace: „Wasal"-gips oraz brązy „Tors", „Nietoperz" i „Królowa".

Burzliwe i fascynujące dzieje jagiellońskich arrasów

– z opowieścią o detektywistycznej pracy polskiego historyka sztuki i niezwykłych losach arrasu Zygmunta Augusta z Rijksmuseum.

Anna Kos

Kiedy w połowie XVI wieku król Zygmunt II August zamawiał w Brukseli największą w Europie kolekcję tapiserii, nikt nie przypuszczał, że kilkaset lat później ich wartość będzie liczona w setkach milionów euro. Arrasy wawelskie – arcydzieła renesansowej sztuki tkackiej – stały się symbolem potęgi Jagiellonów, dyplomatycznego prestiżu i artystycznego mistrzostwa flamandzkich warsztatów.

Dziś, dzięki pracy jednego polskiego uczonego, poznajemy nie tylko skalę tego królewskiego przedsięwzięcia, lecz także dramatyczne losy jednego z najcenniejszych arrasów, który – zamiast wrócić do Polski – trafił do Amsterdamu.

Królewski luksus: ile kosztowała potęga Jagiellonów?

Między 1550 a 1565 rokiem w brukselskich pracowniach Willema de Pannemakera, Jana de Kempeneera, Nicolasa Leyniersa i Roderiga Dermoyena powstała monumentalna kolekcja licząca pierwotnie około 365 tkanin. Dziś na Wawelu znajduje się ich 137.

Były to dzieła utkane z najwyższej jakości wełny, jedwabiu oraz złotych i srebrnych nici. Produkcja jednego arrasu wymagała od 8 000 do 20 000 godzin pracy – był to wydatek porównywalny z kosztami współczesnych superjachtów czy prywatnych odrzutowców.

Przez stulecia nie znano jednak dokładnej ceny królewskiego zamówienia. Aż do teraz.

Naukowe śledztwo prof. Ryszarda Bartłomieja Szmydkiego

Przełom nastąpił dzięki pracy prof. Ryszard Bartłomiej Szmydki – wybitnego historyka sztuki z Leuven, specjalisty od kontaktów artystycznych Polski z Niderlandami Południowymi. Profesor odnalazł w antwerpskim archiwum zapomniany dokument z 13 sierpnia 1560 roku, ujawniający, że 7 września 1559 roku brukselski tapisjer Roderigo Dermoyen zawarł z królem Zygmuntem Augustem kontrakt na cykl tkanin dekoracyjnych.

Wartość zamówienia wynosiła 12 000 liwrów (florenów flamandzkich) – sumę, za którą można było kupić flotę handlową lub kilka bogatych kamienic w Antwerpii.

Odkrycie to rzuciło zupełnie nowe światło na kulisy renesansowej dyplomacji. Prof. Szmydki wskazał również, że w negocjacjach mógł pośredniczyć polski dyplomata Wojciech Kryski, sławiony przez Łukasz Górnickiego, który w latach 1558–1559 przebywał w Niderlandach.

Od carskiej grabieży po stalinowski targ

Choć większość odzyskanych po latach wędrówki arrasów zdobi dziś ściany Zamek Królewski na Wawelu, historia jedne-

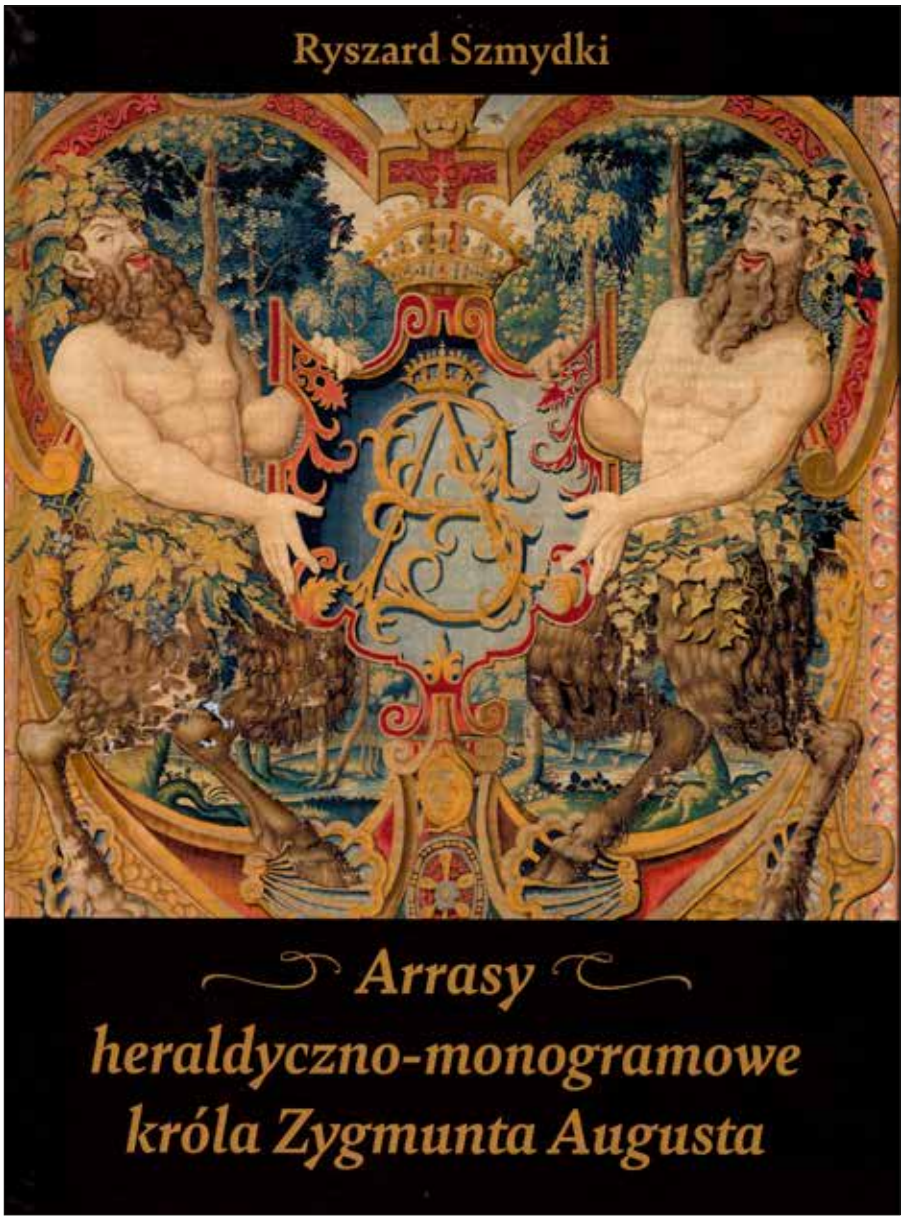

go z dzieł objętych kontraktem Dermoyena – arrasu z groteską oraz monogramem „SA" – potoczyła się dramatycznie.

W 1795 roku, po III rozbiorze Polski, wojska rosyjskie na rozkaz Katarzyna II wywiozły arrasy do Petersburga. Dopiero traktat ryski z 1921 roku zobowiązał Sowietów do zwrotu polskich dóbr kultury. Do Polski wróciło 137 arrasów.

W 1928 roku Józef Stalin złamał postanowienia traktatu i zarządził tajną wyprzedaż zagrabionych dzieł sztuki, aby zdobyć dewizy na finansowanie radzieckiego przemysłu ciężkiego. Wśród sprzedanych obiektów znalazły się także arrasy Zygmunta Augusta. Detektywistyczna praca poszukiwania zaginionych tkanin prowadzona przez prof. Szmydkiego stanowi dziś jeden z najlepiej udokumentowanych przypadków bezprawnego zatrzymania polskiego dziedzictwa kulturowego.

Amsterdam: kolekcja dr. Fritza Mannheimera

Jeden z arrasów trafił na zachodni rynek sztuki i został zakupiony przez Fritza Mannheimera – wpływowego bankiera i kolekcjonera gromadzącego dzieła o randze muzealnej. Nie był to przeciętny zbieracz. Tworzył swoją kolekcję z rozmachem godnym dawnych monarchów, kupując renesansowe srebra, porcelanę i unikatowe tkaniny. Znany był również z bogatego życia towarzyskiego; zawsze w otoczeniu pięknych kobiet wśród których pojawiała się między innymi Josephine Baker.

Królewski arras Zygmunta Augusta idealnie pasował do luksusowej rezydencji Mannheimera nad amsterdamskim kanałem Herengracht. Bankier traktował takie zakupy także jako bezpieczną lokatę kapitału w niespokojnych czasach lat trzydziestych XX wieku. Sielanka nie trwała jednak długo. Pod koniec sierpnia 1939 roku, zaledwie kilkanaście dni przed wybuchem II wojny światowej, imperium Mannheimera nagle zbankrutowało, a on sam zmarł na atak serca w wieku zaledwie 49 lat. Kolekcję przejęli likwidatorzy, lecz w czasie wojny zbiory zostały skonfiskowane przez władze okupacyjne. Najcenniejsze obiekty zakupił rząd III Rzeszy, a część miała trafić do planowanego przez Adolf Hitler „Muzeum Wodza" w Linzu.

Po wojnie alianci odzyskali zbiory ukryte w kopalniach soli w Altaussee i zwrócili je Holandii jako mienie zagrabione przez III Rzeszę. Obecnie Rijksmuseum prowadzi szczegółowe badania proweniencji dawnych zbiorów Mannheimera. Ponieważ część z nich została w latach trzydziestych wyprzedana pod przymusem, muzeum stara się zadośćuczynić spadkobiercom lub ustalić legalność posiadania konkretnych dzieł. W 1960 roku polski arras został oficjalnie przekazany do Rijksmuseum, gdzie figuruje pod numerem inwentarzowym BK 17261.

Arras BK 17261

Arras z groteską Zygmunta Augusta, utkany w 1559 roku w warsztacie Roderiga Dermoyena i sygnowany przez Mistrza Znaku Geometrycznego, należy do najwybitniejszych przykładów brukselskiej tapiserii renesansowej. Tkanina wykonana z wełny, jedwabiu i złotych nici zachwyca bogactwem fantastycznych stworzeń, masek, putt, kandelabrów i ornamentów akantu. Jest częścią cyklu tapiserii heraldyczno-monogramowych króla i pozostaje zarazem arcydziełem polskiego renesansu, jak i świadkiem dramatycznych dziejów Rzeczypospolitej.

Reasumując, jak ustala prof. Ryszard Szmydki, arras został zrabowany w 1795 roku przez wojska rosyjskie po III rozbiorze, wywieziony do Petersburga wraz z całą kolekcją wawelskich tkanin, zatrzymany wbrew postanowieniom traktatu ryskiego z 1921 roku, sprzedany potajemnie w 1928 roku na rozkaz Stalina w ramach wielkiej wyprzedaży dzieł sztuki, zakupiony przez bankiera Fritza Mannheimera, a następnie w 1960 roku przekazany do Rijksmuseum, gdzie znajduje się do dziś. Zgodnie z prawem europejskim arras ten pozostaje nadal polską własnością.

Czas na restytucję. Najlepiej udokumentowana sprawa arrasu z Rijksmuseum

Dzięki wieloletniej pracy badawczej prof. Ryszarda Szmydkiego mamy do czynienia z jednym z najlepiej udokumentowanych przypadków bezprawnego zatrzymania polskiego dziedzictwa narodowego. Zdaniem historyka sztuki, zgodnie z prawem międzynarodowym arras powinien zostać zwrócony Polsce.

Po raz pierwszy istnieją twarde, niepodważalne dowody proweniencji. Sprawa wydaje się jasna zarówno moralnie, jak i prawnie. Holandia od lat prowadzi aktywną politykę restytucji, a Polska dysponuje odpowiednimi narzędziami, by skutecznie poprowadzić ten proces.

Profesor Szmydki postuluje powołanie grupy wpływu Polonii holenderskiej, której zadaniem byłoby nawiązanie rzeczowego dialogu z Rijksmuseum. Grupa miałaby budować szeroką koalicję profesorów, prawników, dziennikarzy i przedstawicieli świata kultury, a także angażować holenderskich ekspertów w debatę o etyce muzealnej i restytucji. We współpracy z Ministerstwem Kultury RP oraz w ramach oficjalnej ścieżki restytucyjnej planowane byłyby wydarzenia informacyjne w Amsterdamie, Hadze, Rotterdamie i Utrechcie, a także działania medialne w prasie holenderskiej i polonijnej. Jak podkreśla profesor, nie chodzi o konfrontację, lecz o kulturalny i merytoryczny dialog, który Holandia z pewnością szanuje i rozumie.

Zdaniem historyka sztuki podobny los spotkał jeszcze około piętnastu arrasów, które mogą znajdować się dziś w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Francji. Prof. Ryszard Szmydki zapowiada również przedstawienie dowodów dotyczących drugiego arrasu znajdującego się we Francji.

Historia, która trwa nadal

Historia jagiellońskich arrasów to opowieść o królewskim splendorze, europejskiej sztuce i dramatycznych losach narodu. W ich złotych i srebrnych niciach zapisane są nie tylko ambicje Zygmunta Augusta, lecz także wojny, grabieże, polityczne targi i wieloletnie starania o odzyskanie utraconego dziedzictwa.

Dzięki pracy prof. Ryszarda Szmydkiego jeden z tych wątków został po raz pierwszy odtworzony z niezwykłą precyzją. Arras z monogramem „SA" przestaje być anonimowym muzealnym eksponatem – odzyskuje swoją historię, miejsce pochodzenia i związek z polską kulturą.

Niezależnie od tego, jak potoczą się dalsze działania restytucyjne, już dziś można powiedzieć, że badania profesora przywróciły pamięć o dziele, które przez stulecia pozostawało rozproszone między imperiami, kolekcjami i muzeami. A pamięć bywa pierwszym i najważniejszym krokiem do sprawiedliwości.

Być może więc historia arrasu z Rijksmuseum nie jest jeszcze zakończona. Być może po długiej wędrówce przez Petersburg, Amsterdam i burzliwe dzieje XX wieku nadejdzie dzień, w którym królewska tkanina znów stanie się częścią opowieści snutej w komnatach Wawelu – tam, gdzie została przeznaczona przez ostatniego Jagiellona.

I być może właśnie dlatego sprawa tego arrasu wykracza daleko poza los jednego muzealnego eksponatu. Jest pytaniem o odpowiedzialność wobec historii i o to, czy po wiekach możliwe jest przywrócenie sprawiedliwości. Dzięki odkryciom prof. Ryszarda Szmydkiego odpowiedź na to pytanie wydaje się dziś bliższa niż kiedykolwiek wcześniej. ■

Opracowano na podstawie:

Ryszard Szmydki, *„Arrasy heraldyczno-monogramowe króla Zygmunta Augusta", Warszawa 2023*

Ryszard Szmydki, *„Roderigo Dermoyen i Fritz Mannheimer, czyli o arrasie z groteską króla Zygmunta Augusta w amsterdamskim Rijksmuseum"*, Kronika Zamkowa – Roczniki, Nr 12 (78) 2025.

Klątwa za kradzież książki

W 280 lecie powstania Biblioteki Braci Załuskich

Krzysztof Lewandowski

Zapewne rozpoczynając swoją „zbieracką" pasję bracia Andrzej Stanisław i Józef Andrzej Załuscy nie spodziewali się, że znajdą się na kartach historii a ich dokonaniom poświęcać się będzie międzynarodowe konferencje naukowe. Załuscy to jedne z nielicznych postaci XVIII wiecznej Rzeczpospolitej, dla których wartości intelektualne i ich upowszechnianie stały się celem życia i źródłem wielu wyrzeczeń dla dobra publicznego. Śmiało można powiedzieć, że zwłaszcza Józef poświęcił się dla … książek … i zachęcania Polaków do ich czytania! Patrząc na współczesne badania czytelnictwa wśród naszych rodaków widać, że to niekończące się zadanie. W następnym stuleciu wychodząc z podobnych idei swoją bibliotekę tworzy w Poznaniu Edward Raczyński.

Pasja Załuskich na dłużej zakotwiczyła się w budynku wzniesionym w 1621 r. przez Mikołaja z Żarowa Daniłowicza, podskarbiego wielkiego koronnego, magnata i rycerza spod Cecory, dowodzącego własnym odziałem wojska pod Zamojskim i Żółkiewskim. Dwór po śmierci Mikołaja przechodził kolejno w ręce jego syna Jana a potem żony Jana, Zofii z Tęczyńskich i następnie jej siostry stryjecznej Izabeli z Tęczyńskich Opalińskiej, żony Łukasza z Bnina, marszałka wielkiego koronnego. W 1660 roku Opalińscy ofiarowują dwór jezuitom, którzy odsprzedają go w roku 1736 Teodorowi Potockiemu, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu i prymasowi polski, aby ten w … trzy dni później zbył go Andrzejowi Stanisławowi Kostce Załuskiemu, biskupowi płockiemu i kanclerzowi wielkiemu koronnemu. Załuski nabywał dwór Daniłowiczów z zamiarem przerobienia go na bibliotekę publiczną. Idea jej założenia pochodziła jednak od brata, Józefa Andrzeja Załuskiego, wszechstronnie wykształconego (uczelnie w Rzymie, Paryżu, Krakowie) prawnika, bibliofila i pierwszego polskiego bibliografa a także dostojnika kościelnego i referendarza koronnego Augusta II Mocnego. Józef Załuski do 18 roku życia zdołał już zgromadzić 13 tys. tomów książek. Józef po licznych perypetiach, jakie nastąpiły po śmierci Augusta II i kilkuletnim pobycie za granicą, powracając w 1742 roku do kraju przywiózł z sobą 3411 tomów oraz doświadczenie wyniesione z możliwości zapoznania się z Biblioteką Watykańską i innymi księgozbiorami rzymskimi. Przygotował też w tym czasie katalog swojej biblioteki. Pod koniec pierwszej połowy XVIII wieku biblioteka liczyła 200 tys. tomów. Załuski zdobywał je poprzez zakupy od właścicieli i na aukcjach księgarskich na całym świecie, przyjmowane darowizny pojedynczych egzemplarzy i całych księgozbiorów magnackich i królewskich. Także poprzez wpłaty członków specjalnie założonego stowarzyszenia „Assocyacyi". Nie stałoby się to bez ogromnego wsparcia finansowego brata Andrzeja. Zbiory zgromadzone w różnych miejscach Warszawy do zakupionego i przebudowanego dworu trafiły dopiero w 1746 roku, gdzie 9 sierpnia roku następnego odbyła się inauguracja Biblioteki Warszawskiej. We wtorki i czwartki oprócz ww. księgozbioru do dyspozycji czytelników było 10 tys. rękopisów, liczne komplety czasopism, tysiące druków ulotnych, bogate zbiory grafiki. Za początkowym ogromnym zainteresowaniem biblioteką szły także liczne kradzieże książek. Staraniem Załuskiego papież „Benedykt XIV wydał 21 kwietnia 1752 roku bullę, okładającą klątwą każdego, kto by wyniósł lub dopomagał w wyniesieniu z Biblioteki jakiegokolwiek dzieła. Ekskomunika mogła być zdjęta tylko przez papieża". Klątwę papieską upowszechniać i wspierać miała kilkakrotnie opublikowana w gazetach „Przestroga od Biblioteki Publicznej Załuskich".

Stałe wsparcie finansowe dla biblioteki pochodziło głównie od brata, Andrzeja Stanisława Załuskiego, w tym czasie już biskupa krakowskiego, który rozporządził też na rzecz biblioteki znacznym zapisem w swoim testamencie. Józef Załuski, po długotrwałych sporach z sukcesorami biskupa, zostawszy już formalnie właścicielem pałacu i zbiorów bibliotecznych, rozbudował budynek i przystosował do jego głównych celów. Utrzymanie jednak 400 tysięcznego zbioru i jego opracowywanie przekraczało możliwości finansowe Józefa, pomimo prebend, jakie płynęły z tytułu otrzymania w 1762 roku nominacji na biskupa kijowskiego. Podejmowane próby przekazania biblioteki kolegium jezuickiemu, potem Rzeczpospolitej, przejęcia jej za inicjatywą Stanisława Augusta przez Szkołę Rycerską zakończyły się ostatecznie fiaskiem. Aresztowanie Józefa Załuskiego w roku 1768 przez Repnina i zesłanie do Kaługi a potem jego śmierć w roku 1774, kilka miesięcy po powrocie z zesłania, stawiała dorobek życia Załuskich na krawędzi upadku. Zdążył on, co prawda jeszcze w Kałudze sporządzić testament przekazujący Bibliotekę i pałac Rzeczpospolitej, a opiekę nad zbiorami jezuitom. Ostatecznie po zniesieniu zakonu jezuitów w roku 1773 księgozbiór i budynek przeszły pod opiekę Komisji Edukacji Narodowej. Po wielu perturbacjach doszło do naprawy i przebudowy podupadłego budynku a od roku 1783 do uporządkowania zbiorów pod okiem ks. Onufrego Kopczyńskiego. Choć biblioteka działała nieustannie w pogarszających się warunkach i odwiedzana przez znakomitych gości m.in. prymasa Michała Poniatowskiego, generała ziem polskich Adama Kazimierza Czartoryskiego, podkanclerzego Joachima Chreptowicza, dyrektora Królewskiej Biblioteki w Berlinie Jana Eryka Biestera, jej los był przesądzony z upadkiem powstania kościuszkowskiego i zajęcia Warszawy przez Rosjan. Zbiory biblioteki zostały z rozkazu Katarzyny II wywiezione do Petersburga i włączone do Biblioteki Carskiej a częściowo rozkradzione. Co prawda w dwudziestoleciu międzywojennym rząd radziecki zwrócił Polsce ocalałą część zbiorów Załuskich, ale te, stanowiąc część Biblioteki Narodowej, uległy prawie całkowitemu zniszczeniu podczas okupacji hitlerowskiej. Ostatni z aktów zniszczenia nastąpił po upadku powstania warszawskiego w pożarze Biblioteki Krasińskich przy ul. Okólnik.

Losy budynku, pałacu Daniłowiczów, były równie dramatyczne. Opustoszały budynek w 1806 roku wojska francuskie stacjonujące w Warszawie przeznaczyły na magazyn mąki, który rok później doszczętnie spłonął, jakoby podpalony przez nieuczciwego magazyniera. Już prawie ruiny gmachu nabył w roku 1817 Stanisław Kłossowski, z zamiarem ich wyburzenia i postawienia nowego gmachu. Jednak dopiero Stanisław Nowakowski, były szambelan Stanisława Augusta, poseł na sejm, kupiwszy ruinę pałacu w 1820 roku, w 1821 przystąpił do jego odbudowy. Pod okiem Karola Gallego, przebudowany budynek w stylu empire, przekształcony na lokale mieszkalne, podwyższony o nowe piętra i pokryty blachą oddano do użytku

w 1824 roku. Podczas remontu odkryto kilkadziesiąt popiersi królów i książąt polskich oraz posągi postaci mitologicznych. Wyeksponowane na dziedzińcu odbudowanego gmachu przyciągały długo uwagę Warszawiaków. Obok właścicieli budynku, na pierwszym piętrze zamieszkał na kilka lat Franciszek Ksawery Drucki-Lubecki, minister skarbu Królestwa Polskiego. W kolejnych latach, od 1836 roku, obok lokali mieszkalnych, mieściły się w gmachu 4-klasowa szkoła męska z internatem, restauracja, drukarnia. Zmieniali się też właściciele: w 1841 r. najpierw spadkobiercy Nowakowskich, w 1847 ich siostra Elżbieta Walewska, w 1855 Jakub Lewiński, w 1857 Aleksandra Potocka przeznaczając budynek na siedzibę Zgromadzenia Felicjanek, podczas powstania styczniowego emisariuszek Rządu Narodowego. Po zamknięciu przez Rosjan klasztoru w 1864 roku w budynku działały warsztaty rzemieślnicze, fabryczka instrumentów muzycznych oraz zamieszkali lokatorzy. Na przełomie wieków, w czasie, gdy właścicielem pałacu był Ksawery Branicki, doszło do sprzedaży na rzecz właściciela teatru „Nowości" przyległości pałacowych, aby umożliwić wygodny do niego dojazd. W skutek tego doszło do rozbiórki oficyn a znajdujące się na nich głowy królewskie ozdobiły fronton Biblioteki… i są tam do dziś. Nad nimi umieszczona została statua Matki Boskiej i obecnie strzegąca wejścia do budynku. Z tego to powodu, począwszy od 1900 roku budynek poczęto nazywać „Domem pod Królami", a wytyczona nowa ulica przyjęła nazwę ul. Hipotecznej, od zamykającej ją hipoteki. Dziesięć lat później została odnowiona elewacja domu wraz z popiersiami królów. Budynek, w dwudziestoleciu międzywojennym pełniący funkcje kamienicy mieszkalnej, przetrwał do sierpnia 1944 roku, w którym został w 70% zniszczony przez niemieckie bomby. Po wojnie, zwyciężyła koncepcja odbudowy gmachu i jego przeznaczenia, zaproponowana w 1959 r. przez Stowarzyszenie Autorów ZAiKS. W 1962 roku gmach odbudowany sumptem autorów został oddany na siedzibę stowarzyszenia. I tak kultura wróciła do Biblioteki Załuskich. W pewnym sensie odrodziła się też idea biblioteki. ZAiKS zgromadził jedne z największych w Polsce, zbiory publikacji poświęconych prawu autorskiemu i ochronie twórczości. W jego archiwach mieszczą się też liczone w setki tysięcy egzemplarze utworów, wielokrotnie rękopisów, polskich autorów utworów muzyki poważnej, piosenek, dramatów i innych. Samo stowarzyszenie powołane do życia w 1918 roku troskliwie opiekuje się budynkiem i kultywuje tradycje Załuskich a portrety braci Józefa i Andrzeja do niedawna zajmowały centralne miejsce w gabinecie prezesa stowarzyszenia. Genius loci tego miejsca odrodził się też w hojności autorów i ZAiKS-u dla setek przedsięwzięć kulturalnych, tak niszowych jak i czołowych dla polskiej kultury, jak Warszawska Jesień, Festiwal Paderewskiego, Festiwal Kultury Kresowej, Muzyka na szczytach … czy wreszcie wspieranie targów książki, Festiwalu Stolica Języka Polskiego w Szczebrzeszynie, Klubu Księgarza w Warszawie, Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Zbigniewa Herberta HERBERTIADA i innych. ZAiKS dofinansował też wydanie dziesiątków książek, tak beletrystyki jak i dzieł naukowych. Brakuje tylko klątwy Papy Franciszka na wszystkich, którzy nie czytają książek lub kradną cudze prawa autorskie. Biblioteka pojawiła się też kilkakrotnie w treści „Ksiąg Jakubowych" naszej noblistki Olgi Tokarczuk. To do niej jako źródła wiedzy odwoływał się ksiądz Benedykt Chmielowski. 270 lat Biblioteki Załuskich, Domu pod Królami i odrodzonego mecenatu Stowarzyszenia Autorów ZAiKS znalazło swoje podsumowanie w konferencji pt." Idea i tradycja mecenatu – od Załuskich do ZAiKS-u 1747 – 2017" organizowanego przez Polską Akademię Nauk Archiwum w Warszawie, ZAiKS, Polskie Towarzystwo Archiwalne, Towarzystwo Rapperswilskie i Urząd Miasta Kobyłka (miejsca złożenia urny z sercem biskupa Andrzeja Stanisława Załuskiego) oraz książce Konrada Zawadzkiego „Dzieje gmachu Biblioteki Załuskich", z której wiadomości garściami czerpał autor niniejszego artykułu. 280 rocznica otwarcia biblioteki Załuskich, zwłaszcza w kontekście Narodowego Programu Czytelnictwa w Polsce, znajdzie zapewne swoje miejsce w kalendarzu wydarzeń kulturalnych na rok 2027.

Moje trzy pierwsze miłości i pierwsze wernisaże

Andrzej Skibniewski

Fotografia towarzyszy mi od dzieciństwa. Mój pierwszy aparat, „Druh", dostałem pod choinkę, mając osiem lat — „od Aniołka", jak wtedy mówiliśmy. Nie zachowało się ani samo urządzenie, ani pierwsze zdjęcie, które zrobiłem kotce, ale do dziś pamiętam wzruszenie, z jakim brałem go do rąk. Pamiętam dotyk obudowy, spojrzenie w małe okienko pokazujące numer zdjęcia i dziecięce przeświadczenie, że oto dzieje się coś ważnego. Była w tym ciekawość, ale też czułość wobec świata, który nagle można było zatrzymać na zawsze.

Piętnaście lat później pojawił się *Honeywell Pentax* — mój drugi ważny aparat i prawdziwy towarzysz dojrze-

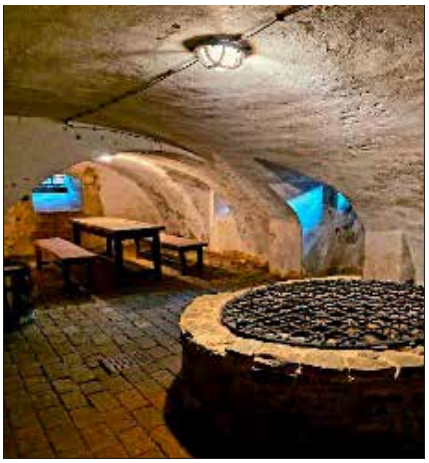

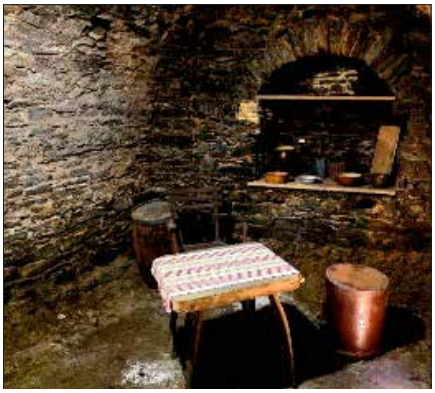

Wnętrza galerii „Na Rychtě" w czeskim Úvalnie (fot. A, Skibniewski).

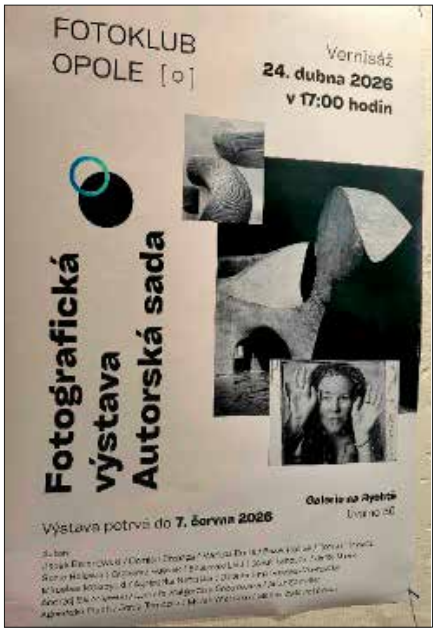

Wystawa w czeskim Ùvalno[1]. Z lewej plakat wystawy, z prawej „Sydney Opera 2014" (fot A. Skibniewski).

[1] *Galeria „Na Rychtě" w małej miejscowości (niespełna 1000 mieszkańców) Úvalno. Jest to wyjątkowe centrum kulturalno-rozrywkowe, mieszczące się w zabytkowym barokowym spichlerzu z końca XVII wieku. Na możliwość pokazania tam swoich prac czekaliśmy ponad dwa lata; w wernisażu wzięło udział ponad sto osób.*

wania. Był ze mną w podróżach, podczas górskich wypraw i w chwilach, które dziś wracają bardziej jako obrazy niż słowa. Patrzyłem przez jego obiektyw na miejsca dalekie i surowe, ale także na zwykłe sceny, które dzięki fotografii nabierały znaczenia. Kiedy po latach zniknął z mojego życia, przenosząc się bez mojej zgody do Tajlandii, poczułem nie tylko stratę przedmiotu, lecz także ciche domknięcie pewnego etapu — jakby odszedł świadek wielu ważnych chwil.

Z biegiem lat fotografia stawała się dla mnie czymś więcej niż sposobem zapisywania wspomnień. Coraz częściej była próbą uchwycenia nastroju, rytmu i tego, co w codzienności łatwo przeoczyć. Prawdziwy przełom przyniosła jednak praca w FUJIFILM w Tilburgu, gdzie znalazłem się w świecie całkowicie zanurzonym w obrazie. Tam fotografia przestała być tylko moją prywatną pasją — zaczęła dojrzewać razem ze mną i coraz wyraźniej układać się w osobistą, amatorską drogę twórczą.

To właśnie wtedy pojawił się *FUJIFILM X-Pro 1* — mój trzeci aparat i trzecia miłość od pierwszego wejrzenia. Było w nim coś, co od razu wzbudziło zaufanie: prostota, elegancja klasyczny wygląd, przypominający kultową *Leicę*. Obiecywał, że obraz może być nie tylko zapisem, ale także opowieścią. Z nim ruszyłem w podróż do Australii, Malezji i Japonii, a pierwsze zdjęcia zrobiłem w Sydney. Szczególnym wyzwaniem okazała się Opera w Sydney — budowla pozornie znana z tysięcy fotografii, a jednak trudna do uchwycenia po swojemu. Jej jasne, niemal białe żagle odbijały ostre australijskie światło, przez co łatwo było przepalić najjaśniejsze partie kadru. Jednocześnie kontrast między rozświetloną bryłą, głębokimi cieniami pod zadaszeniami, ciemniejszą wodą zatoki i lazurowym niebem wymagał uważnego dobierania ekspozycji. Problemem była także perspektywa: zbyt bliskie podejście deformowało linie, a zbyt dalekie odbierało budynkowi skalę i napięcie. Szukałem więc takiego miejsca, w którym architektura nie stałaby się tylko pocztówkowym znakiem, lecz zachowała rytm, ciężar i przestrzeń wokół siebie. Dziś myślę, że właśnie wtedy fotografia zaczęła naprawdę prowadzić mnie dalej — nie tylko przez miejsca, ale również przez coraz głębsze rozumienie własnego patrzenia.

Po latach ta droga zaprowadziła mnie do pierwszych publicznych prezentacji prac — najpierw w Opolu, a potem w czeskim Úvalnie, gdzie podczas pierwszego wernisażu w maju b.r. pokazano dwa moje zdjęcia. Był to dla mnie moment szczególny i poruszający. To, co przez lata pozostawało cichą, bardzo osobistą rozmową ze światem, nagle znalazło swoje miejsce w przestrzeni wystawowej i spotkało się z obecnością innych ludzi. W takich chwilach człowiek uświadamia sobie, że pasja, pielęgnowana przez lata w samotności, może stać się językiem zrozumiałym także dla innych.

Od aparatu „Druh", przez „Pentax", po FUJIFILM X-Pro 1 prowadzi mnie ta sama potrzeba — zatrzymywania tego, co ulotne i nadawania obrazom własnej opowieści. Dziś widzę w tej drodze nie tylko historię kolejnych aparatów, ale także historię własnego dojrzewania, pamięci i wrażliwości. Każde zdjęcie jest próbą ocalenia chwili, która mija, a każda wystawa staje się dla mnie wzruszającym potwierdzeniem, że to, co kiedyś zaczęło się od dziecięcego zachwytu, nadal ma sens. Dlatego dzisiejsze prezentacje moich prac odbieram nie tylko jako artystyczny, wciąż jeszcze amatorski etap, lecz także jako ciche domknięcie wielu lat patrzenia, przeżywania i zapamiętywania.

Jerzy Skoczylas

Ostatni listonosz

Cienistą wąską drożyną,
snuje się w wiejskim plenerze,
ostatni stary listonosz,
na równie starym rowerze.
Pot mu się perli na czole
i oddech zamienia się w gwizd,
a on się wlecze doręczyć
ostatni w swym życiu już list.
Już listów woził nie będzie,
bo ludzie pisać przestali,
nie chcą już kopert ni znaczków,
innowacyjni się stali.
Zaprzepaścili tradycje,
zawieruszyli adresy,
dziś rozsyłają wyłącznie
e-maile i esemesy.
Listonosz im niepotrzebny,
więc pora go wylać na bruk,
wystarczy w dłoni telefon
i zwinny jak jaszczurka kciuk.
Listonosz jadąc wspomina,
gdy w torbie wiózł listów stertę.
a każdy zdobiły znaczki,
każdy miał piękną kopertę.
A adresatki te listy
chowały do pudełeczek
i ozdabiały kokardką
z różowo – białych wstążeczek.
Pamięcią wraca do depesz,
ze stemplem z czarnym otokiem,
które adresat odbierał
z niepewnym strachliwym wzrokiem.
Wspomina świąteczne kartki
z choinką lub zajączkami,
karty pocztowe z wakacji
i widokówki z Majami.
Wreszcie zatrzymał swój rower
i ujął w zmęczone ręce
ów list ostatni z ostatnich,
co w miejscu stempla miał serce.
Sam go do siebie napisał
i sam się nad nim namęczył
i sam – ostatni listonosz
ostatni list sobie wręczył.
Potargał go na kawałki,
rozrzucił na cztery strony
i łzami zaszły mu oczy
i poczuł, że jest spełniony.
Lecz w atmosferę spełnienia,
rzecz dziwna raptem się wkradła,
bo jakaś drobinka z nieba,
nagle na czapkę mu spadła.
I tu się domknął epilog,
bo zwierzchnie nakrycie głowy,
spaskudził mu ekskrementem
ostatni gołąb pocztowy.

Mietek Szcześniak – BROTHERS

Vladek Juszkiewicz

Był rok 2007. Do Polski przyjechała grupa artystów, żeby nawiązać kontakt z polskimi artystami i może zawiązać współpracę. Ze Stanów przyjechała Wendy Waldman i spotkała Mietka. „Miłość" od pierwszego spotkania. Mietek przyjechał do Los Angeles. W siedzibie POLAM Polsko Amerykańskiej Unii Kredytowej wynajmował biuro publicysta Wendy. Zadzwoniono do mnie, że POLAM odwiedzi Mietek; nie bardzo wiedziałem kto to jest. Ja z Polski wyjechałem zanim Mietek zaistniał na polskiej scenie. Słyszałem go po raz pierwszy w 1999 roku w „Dumce na dwa serca" w filmie „Ogniem i mieczem." Usłyszałem go, bo w filmie jest tylko muzyka. W kredytach nie doczytałem kto to śpiewa. Poszedłem na to spotkanie i w czasie rozmowy wyszło, że będą razem współpracować i nagrywać. Ja śpiewam w chórze gospel LIFE Choir. Zapropo-

Autor, Wendy Waldman, Mietek Szcześniak fot. archiwum autora

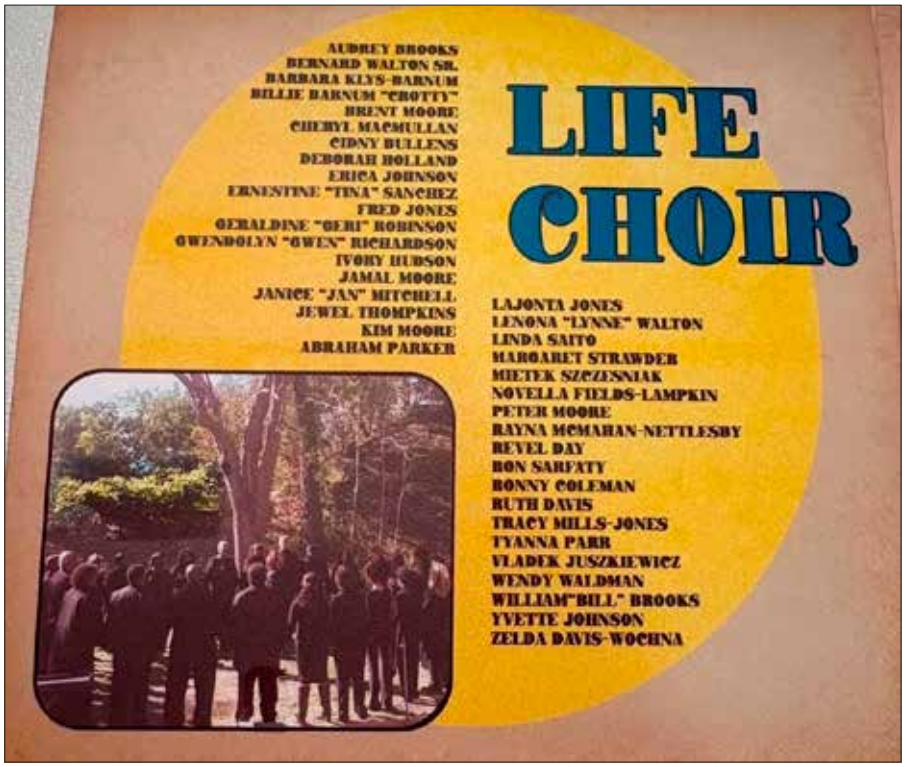

nowałem, że jeżeli będą potrzebować chór, to mogę ich przedstawić naszemu dyrygentowi H.B. Barnum. Zaprosiłem ich na próbę. W między czasie powiedziałem, kto to jest HB; był kierownikiem muzycznym Arethy Franklin. Mietek był fanem Arethy. Jak poprosiliśmy, żeby nam coś zaśpiewał dostał miękkich kolan; udał się go namówić. I tutaj znowu „miłość" od pierwszego wejrzenia z HB, który powiedział, ze są jak dwaj bracia od innych matek. Nasz chór współpracował już z polską artystką, Maryla Rodowicz, której w Polsce byłem managerem przed wyjazdem do Stanów. Jak się dowiedziała, że śpiewam w chórze gospel powiedziała, że jej marzeniem jest zaśpiewanie z takim chórem. W 1999 roku nasz chór pojechał do Warszawy, żeby wystąpić z nią na Torwarze na jej koncercie „Karnawał 2000". Przygotowałem ich do śpiewania po polsku. Nasz chór śpiewał polski hymn na wszystkich otwarciach Festiwalu Filmów Polskich w Los Angeles; poza pierwszym, bo wtedy śpiewali w Polsce z Marylą.

Potem robiliśmy jej chórki, na odległość, do jej płyty „Buty 2"; śpiewali też po polsku!

Ale wróćmy do Mietka, który jak przyjeżdżał do LA, to przychodził na próby; został członkiem naszego chóru. Zaczęli z Wendy przygotowywać nowy dysk, który, z naszym chórkiem i aranżacjami HB, został wydany w Polsce; ZNAKI (Signs).

9 czerwca tego roku ukazał się nowy dysk „Brothers". Nagrywaliśmy go ponad dziesięć lat. Twórcami utworów są Wendy, HB i oczywiście Mietek. Wszystkie solówki wykonuje Mietek z towarzyszeniem LIFE Choir w aranżacjach HB. Tytułowy utwór „Brothers" wykonuje HB i Mietek.

Dysk jest po angielsku w stylu gospel. W tej chwili jest on w czołówce sprzedawanych nagrań w Polsce i na listach przebojów; gratulujemy!

Od redakcji

Album „Brothers" jest zwieńczeniem wieloletniej współpracy Mietka Szcześniaka z amerykańskimi muzykami, której początki – jak opisuje Vladek Juszkiewicz – sięgają pierwszego spotkania artysty z Wendy Waldman i H.B. Barnumem w Los Angeles. Słychać to w każdym z dwunastu utworów. To płyta, która nie podąża za chwilową modą, lecz świadomie czerpie z tradycji soulu, gospel, bluesa i rhythm and bluesa.

Największym atutem albumu pozostaje niezwykle dojrzały wokal Mietka Szcześniaka. Jego interpretacje są pełne spokoju, emocjonalnej głębi i muzycznej kultury, a naturalne, oparte na żywych instrumentach aranżacje H.B. Barnuma nadają całości ponadczasowe brzmienie. Istotnym elementem nagrań jest również udział Life Choir z Los Angeles, którego charakterystyczne gospelowe harmonie wzbogacają każdą kompozycję i podkreślają ideę wspólnoty, zawartą już w samym tytule albumu.

„Brothers" najlepiej odbierać jako spójną muzyczną opowieść. Nie jest to zbiór singli nastawionych na szybki sukces komercyjny, lecz konsekwentnie zrealizowany projekt, w którym liczy się atmosfera, przekaz i autentyczność wykonania. Album pokazuje, że muzyka oparta na szczerości, doświadczeniu i rzemiośle pozostaje ponadczasowa.

Historia opisana przez Vladka Juszkiewicza pozwala spojrzeć na tę płytę z wyjątkowej perspektywy. „Brothers" nie jest jedynie kolejnym albumem w bogatym dorobku Mietka Szcześniaka, ale także świadectwem wieloletniej przyjaźni, wzajemnego zaufania i twórczej współpracy polskich oraz amerykańskich artystów. To właśnie ten ludzki wymiar sprawia, że album wybrzmiewa tak autentycznie i przekonująco. ■

Lato, lato wszędzie!

Marek Grądzki

Szaleje ten nasz klimat, parę lat już na tym świecie żyję ale że dożyję takich czasów nie myślałem. Raz mróz ścina kości, to znowu lepi upałem nie dając wytchnienia. Jeszcze niedawno śmiałem się, ze klimat się zmienia i muszę sobie załatwić sadzonki bananów, albo że będę uprawiał avocado. Nic z tych rzeczy. Dotyka nas ciągła huśtawka nastrojów, raz w dół, raz w górę. Do tego jeszcze albo susza, albo ściana deszczu poprawiona burzą. Trudno tu o czymkolwiek logicznie myśleć. Zebrałem pierwszy pokos trawy, przecież moje stwory muszą coś jesienią i zimą jeść. Nie wiem co będzie dalej, przede mną jeszcze powinny być dwa. Co będzie przyszłość pokaże. Ze zmian klimatu w moim gospodarstwie objawiły się alpaki. Jak na razie warunki im odpowiadają. Są ostrzyżone, ząbki wyrównane, pedicure

zrobiony. Będziemy z wełny robili poduszki i kołderki antyalergenne. Biesiadownik też jakoś przędzie, niemniej jednak jak Szanowny Czytelniku jak będziesz przejazdem w Wielkopolsce serdecznie Cię zapraszamy. W każdy weekend będziesz mógł coś smacznego przekąsić. Kozy i owce mleko dają, więc serów nie brakuje. Teraz zaś na przewalające się upały proponujemy chłodnik ogórkowy na jogurcie, obficie okraszony koperkiem gasi pragnienie i pobudza apetyt. Nasz wiekowy, bo pochodzący z 1885 roku wojskowy piec na kółkach znakomicie przydaje się nam do pieczenia jagnięciny. Odpowiednio sprawiona najpierw leży w solance, potem nacierana przyprawami dojrzewa. Chcąc chwilę odpocząć wyjechaliśmy z Moim Ślubnym Szczęściem do Grecji na małą wysepkę Tassos. Bajka, mówię Wam, ale dodatkową zdobyczą stamtąd przywiezioną były zestawy przypraw właśnie do takiego mięsiwa przeznaczone. No i okazało się, że Grecy wiedzą co robią. Pieczeń najpierw zmarynowana w tychże powędrowała do naszego Panzera na dwanaście godzin w zamknięciu, podlana obficie czerwonym winiem i naszym piwem i dojrzała. Pyszność nad pysznościami rozpływała się w ustach. Gdy jeszcze do tego dostała pieczone na płycie ziemniaczki z naszego pola i takież warzywa, czyli marchewki, paprykę i cukinię to stworzyła nieprawdopodobne bogactwo smaku. Ludkowie rostomili, opłacało się wyjechać do Grecji, połączyć jej smak z naszą historyczną kuchnią by zbudować cudo, cudeńko. Całość można popić albo kompotem, albo lemoniadą, albo też trzymając się bałkańskiej klasyki robionym na świeżo ajvarem. No tom się rozmarzył, chyba pójdę do kuchni zrobić sobie coś do zjedzenia, bo ślinianki pracują. A Tobie Szanowny Czytelniku życzę samych przyjemności zdrowia przede wszystkim. Pamiętaj, że tym jesteś co jesz, więc odżywiaj się zdrowo!

Zamczysko

Alek Silber

Bianka siedziała pod wielką lipą kawiarni uniwersyteckiej. Słoneczny dzień i przyjemne ciepło napawały chęcią do życia. Obok laptopa stała na stoliku niedokończona filiżanka kawy. Maja była spóźniona o przeszło pół godziny. Często się spóźniała, ale czego się nie wybacza najbliższej przyjaciółce. Dlatego Bianka była na to przygotowana i na spotkanie przyszła z komputerem. Właśnie pracowała nad ciekawym projektem – porównywanie Kodeksu Napoleona z brytyjskim systemem prawnym. Wykładowca polecił korzystanie z pomocy AI, zresztą nie pierwszy raz. Był to doskonały sposób na zbieranie szerokich danych, co było przy tej pracy dużym ułatwieniem. Oprócz formalnej pomocy Bianka trochę się bawiła AI; oglądała zdjęcia starych zamków, czytała ich historie i legendy. To zamiłowanie było pewnie reliktem dzieciństwa, kiedy to ojciec opowiadał jej bajki o księżniczkach, rycerzach i wielkich zamkach.

Oczywiście nie wspominała o tym Mai, bo już samo wyrażenie sztuczna inteligencja budziło w niej ostrą reakcję, co było dziwne, bo z natury nie była konfliktowa. Dla świętego spokoju przyjaciółki omijały ten temat. Przez lata ich przyjaźń się ugruntowała, zwłaszcza po paru trudnych przejściach. Bardzo to sobie ceniły i z pietyzmem o nią dbały. Maja studiowała historię literatury, a jej ulubionym zajęciem było pisanie wierszy. Brała nawet udział w kilku konkursach poetyckich i dobrze się zapowiadała. Często brała udział w akcjach dobroczynnych, uwielbia zwierzęta i jest wegetarianką.

– Cześć – podbiegła Maja, włosy rozwiane, torba niedbale przerzucona przez ramię – wybacz, spóźniłam się, wiesz, profesor historii przedłużył wykład…

– Spoko. Siadaj. Czego się napijesz? Kawa, sok?

– Bianka, jak my się długo znamy?

– Zapomniałam, przecież ty kawy nie pijesz – obie wybuchnęły śmiechem – to ten nowy projekt, tak mnie pochłonął, że trochę się zapominam – wyjaśniła Bianka.

– Nawet nie będę pytać, czy przy pomocy AI?

– Maja… – Bianka położyła rękę na jej dłoni – powiedz lepiej, co tam u ciebie? Miałaś zaliczenia z teorii literatury?

– A no miałam.

– No i jak? Nic nie mówisz.

– Nieźle.

– Ty to jesteś skromnisia. To znaczy bardzo dobrze. – Maja kiwnęła głową.

– Te wykłady z literatury trochę mnie zmartwiły.

– Dlaczego?

– Bo stosując te kryteria oceny, moje wiersze są nic niewarte.

– Co tam kryteria, ludziom się podobają, a to się liczy. Ja jestem pierwszą fanką twojej poezji. Zresztą sama wiesz, że sztuka to nie skok wzwyż, linijką tego nie wymierzysz. Na pewno wymyślili te kryteria Anglicy albo Amerykanie. Oni wszystko próbują ująć w pragmatyczne ramy.

– Wiem.

– No to, co się martwisz?

Kelnerka przyniosła sok pomarańczowy. Maja wypiła duszkiem pół szklanki.

– Zawsze mogę na ciebie liczyć. Dzięki.

– Nie wygłupiaj się.

– Za to ci opowiem coś ciekawego, nie uwierzysz.

– Słucham.

– W niedzielę spotkałam na imprezie Adriana, wiesz tego komputerowca. Zatańczyliśmy parę razy, wypiliśmy parę drinków i wyszliśmy na taras. Doszło jeszcze parę osób. Nagle ni stąd, ni zowąd Kaśka go zapytała, na czym polega sztuczna inteligencja i jak to działa? Znasz Adriana? Jak to usłyszał, to poleciał w orbitę, nie można go było zatrzymać.

Maja przesunęła krzesło bliżej stolika i ściszyła głos. Przyznała, że tłumaczenia Adriana zgubiły ją już po pierwszym zdaniu. Nie chodziło tu o terminologię, ale same koncepty, struktura, logika… to wszystko było dla niej nie do ogarnięcia. Mimo nieukrywanej fascynacji tematem Adrian zachował pewną dozę obiektywizmu, nawet polecił kilka kontrowersyjnych audycji na ten temat. Szczególne znaczenie miał tu wywiad z Hintonem, jednym z głównych twórców AI, który przyznał, że po raz pierwszy w historii dziejów technologia wymyka się spod kontroli człowieka i że może doprowadzić do zagłady ludzkości. To utwierdziło Maję w przekonaniu, że sztuczna inteligencja jest przekleństwem i realnym zagrożeniem dla przyszłych pokoleń. Ona się tego po prostu boi i nie chce mieć z tym nic wspólnego. Mówiła to z determinacją, może nawet z pewnym wyzwaniem.

– Wiedząc to wszystko – kończyła – nie rozumiem, jak możesz ciągle zaglądać do GPT.

– To wszystko prawda, ale nie do końca. Pamiętaj, że ten koszmarny twór ratuje ludzkie życia, są dziesiątki przykładów: wczesna diagnoza raka, ataku serca, odnajdywanie zagubionych, ratunek na morzu, pomoc w produkowaniu nowych leków… powiedz, kiedy mam skończyć.

– Czym jest to wszystko w perspektywie wykończenia ludzkości? Już nawet był przypadek samobójstwa dopingowanego przez AI. A masowe zwolnienia? Trzeba być ślepym albo głupcem, żeby dać się omamić blichtrem marginesowych korzyści!

– To znaczy, że jestem ślepa, albo głupia, albo i jedno i drugie! Ładnie mnie traktujesz!

– Nie bierz tego osobiście.

– No ale to imputujesz – Bianka zamknęła laptop – zabierasz głos na temat, którego praktycznie nie znasz.

– A więc to ja jestem ignorantką?

– W tym przypadku, wybacz, ale tak.

– Coraz lepiej.

– Wiesz co, skończmy, ta rozmowa nie ma sensu.

– Dla mnie ma, a właściwie miała! – Maja wstała i odeszła, niemal pobiegła bez pożegnania.

Jadąc autobusem, nie mogła dojść do siebie. Nagle Bianka jawiła jej się jako agentka diabła. Jak tak mogła? Widziała jej twarz; spięte usta, błysk w oku. Słyszała słowa igły, noże. Nie widziała śladu przyjaciółki, tylko złość, wrogość i obcość.

W domu nalała sobie drinka. Potem drugiego. Włączyła muzykę. Po chwili ją wyłączyła. Nerwowo chodziła po pokoju. Dopiero teraz zauważyła Reksa, patrzył na nią zdziwiony, nigdy swojej pani takiej nie widział. Położył jej łeb na kolana. Zaczęła go głaskać. Dopełniła szklankę. Pies patrzył na nią, szukając wyjaśnienia. Zaczęła mu opowiadać całą historię, a on słuchał, jakby to wszystko rozumiał. Lizał ją po ręce. Głaszcząc psa, powoli zaczęła się uspokajać.

***

Bianka wróciła do domu roztrzęsiona. Zamiast obiadu ugryzła kawałek chleba, który z trudem przełknęła. Siadła do komputera, ale ekran migał jej przed oczami. Zamknęła laptop. Powracał jej obraz Mai,

zaciętej, bezkompromisowej. Nie chciała o niej myśleć, ale ich ostatnie spotkanie nie wychodziło jej z głowy. Wiedziała, że w takim stanie potem nie uśnie, będzie się męczyła całą noc. Na szczęście miała swoje metody – poszła na ostry bieg, dziesięć kilometrów. Ze sprintami. Potem gorący i zimny prysznic. Pomogło. Od razu usnęła. Było to jednak pyrrusowe zwycięstwo.

Zamek, masywne, wysokie mury, na nich armaty. Nad nimi baszty, małe okienka, białe okiennice. Wzdłuż muru fosa, za ciężkimi bramami zwodzone mosty, zwykle zamknięte. Pokój Bianki był położony na szczycie wieży, z okna roztaczał się piękny widok na pobliskie lasy i rzeczkę. Nad kominkiem wisiały dwie skrzyżowane halabardy, w rogu stała zbroja rycerska. Na ścianie nad łóżkiem wisiał gruby kilim z wiejskim pejzażem. Lubiła to miejsce.

W ciągu dnia siadała na zydlu przy oknie i haftowała kolorowe wzory na białym płótnie. Robota ta szła jej dosyć niezręcznie, w końcu skąd miała znać technikę haftowania, a i z talentem było nie najlepiej. Ale co robi białogłowa na zamku? – haftuje serwety. Pewnego ranka idąc w stronę okna, potknęła się o stopę rycerza, niemal nie upadła. Wstała, spojrzała na niego innym wzrokiem. Czy chciał jej przez to coś powiedzieć? Przyjrzała mu się uważnie. Tak – zdawał się przytakiwać. Prosił, żeby go wyhaftowała. Rycerza? Haftuje się kwiaty, słońce, ale rycerza? Skąd ten pomysł? Bo nie wyszedł od niej.

Nazajutrz przeciągając nitkę przez płótno, miała poczucie, że ktoś jej tę rękę prowadzi. Wstała, popiła wodę, podeszła do okna, potem rozejrzała się po pokoju. Czy ktoś tu jest? Bzdura, przecież jest tu sama. Ale wyraźnie czuje czyjąś obecność. Powróciła do pracy. Ku swojemu zdziwieniu zauważyła wyłaniającą się postać rycerza. Przecież to nie jej robota, ona tak nie potrafi. Jednocześnie cieszyła się wspaniałym rezultatem i nowym odkryciem ukrytego talentu. Ale ten talent nie był jej. Coś albo ktoś ją prowadził. Wytężała wzrok, przykładała ucho do ściany. Nic, cisza.

Aż pewnego wieczoru usłyszała. Nie. Poczuła. Też nie. Coś albo ktoś komunikował się z nią. Nie mówił, nie szeptał. Swoje teksty bez słów przesyłał prosto do mózgu. To musiał być duch. Z czasem jego obecność stawała się coraz bardziej wyraźna. Najczęściej przychodził nocą albo we śnie. Niby istniał, ale go nie było. Był bardzo przyjazny, wręcz dobrotliwy. Podpowiadał nowe pomysły. Malował wzory do haftowania, podpowiadał, jak robić aranżacje kwiatów albo jak ugotować fikuśne danie. Bianka polubiła tę niewidoczną zjawę, nawet prowadziła z nią rozmowy, bez słów, bez gestów, mózg do mózgu. Albo do czegoś tam, bo duch pewnie nie ma mózgu.

Z czasem ta relacja stała się coraz bardziej zażyła. Duch nie tylko doradzał, ale czasami nalegał. Bianka zauważyła, że robi coś wbrew sobie, że czasami nie panuje nad swoją wolą. Momentami przyjazny duch stawał się natarczywy. Bianka zauważyła, że ten miły, niewidoczny duszek zaczyna ją kontrolować. Czasami traciła poczucie siebie, nie była pewna, czy decyzja była jej, czy ducha? Próbowała mu delikatnie dać do zrozumienia, że przekracza granicę przyzwoitości i że ona sobie tego nie życzy.

Na nic zdawały się jej protesty. Jednocześnie nie przestawała podziwiać serwety z wizerunkiem rycerza, był wspaniały. I to dzięki duchowi. Ale za jaką cenę?

Kiedy jej kazał wyhaftować egzekucję wrogiego rycerza, przelała się miarka. Musiała coś zrobić, nim kompletnie straci panowanie i wpadnie pod kontrolę ducha. Ale co mogła zrobić? Zabić go? Udusić? Wyrzucić przez okno? Jak? Przecież go nie było. W końcu doszła do wniosku, że jedyne wyjście to pożegnać rycerza w zbroi oraz skrzyżowane halabardy i uciec z zamku. Tak, to zrobi, ale… Jest jedno, ale. Duch może czytać jej myśli. Nie wolno jej myśleć, wszystko musi robić intuicyjnie. Może do intuicji nie dotrze.

Nie wiadomo dlaczego bramy były zawsze strzeżone przez gwardzistów. Bianka obserwowała ich rutynę i doszła do wniosku, że najlepszą szansę na ucieczkę ma w czasie zmiany warty o północy. Spakowała mały tobołek, ale tuż przed zamknięciem drzwi wróciła po serwetę. Ze swoim rycerzem już się nie rozstanie. Cicho zeszła z wieży i zaczaiła się przy bocznej bramie. Właśnie zbliżała się nocna zmiana, czterech żołnierzy szło równym krokiem, ich twarze oświetlone migającym łuczywem.

Nagle stanęli nieruchomo. Pierwszy z nich przechylił głowę, jakby kogoś nasłuchiwał, ale nikogo nie było widać. Dopiero po chwili Bianka zorientowała się, że pewnie mówił do niego duch, jej przeklęty dręczyciel. Odwróciła się i biegiem ruszyła schodami w górę muru i mijając armaty, dobiegła do następnej bramy. Widocznie i tu gwardziści zostali już powiadomieni o próbie ucieczki i na jej widok podbiegli do schodów, krzycząc, że ma stanąć i nie próbować dalszej ucieczki, bo będą strzelać. Widząc, że ich groźby nie wywarły efektu, ruszyli w pogoń. Ciężka zbroja utrudniała im bieg, toteż pozostali w tyle. Jeden z nich klęknął i oddał strzał, ale chybił. Widząc już następną bramę, która była otwarta, Bianka przyspieszyła kroku. Niestety moment nadziei nie trwał długo. Z przeciwnej strony ukazali się nowi gwardziści. Była osaczona. Padł kolejny strzał rozejrzała się wokoło. Nie było innego wyjścia, stanęła na brzegu muru, tuż przy armacie. Na dole w świetle księżyca lśniła gładka tafla fosy. Zamknęła oczy, ścisnęła tobołek i… skoczyła.

Obudził ją własny krzyk. Była spocona, ale żyła. Podeszła do okna, słońce stało już wysoko. Jego ostre światło raziło zmęczone oczy. Myjąc zęby przed lustrem, przeraziła ją swoim widokiem; roztargane włosy, worki pod oczami, zmięta twarz. To była ona? Czuła się skacowana, chociaż w ogóle nie piła. Weszła do kuchni, to znów wróciła do łazienki. Czegoś szukała, nie wiedziała czego. Jej wzrok padł na stojący na balkonie rower. Tak, to było to.

Rower i torbę wrzuciła do samochodu, zapięła pasy i ruszyła. Stopniowo powróciły do niej wydarzenia poprzedniego dnia. Poczuła niesmak i żal. Po co się tak uniosła? Czy to było warte? Niech szlag trafi to całe AI. I o to się pokłócić z Mają? Po tylu latach? O takie głupstwo? Nagle samochód zaczął wydawać jakieś gwizdy. Spojrzała na zegary – wyjechała za linię. Też mi powód! Przetarła oczy. Musi to naprawić, one się muszą pogodzić, przecież to jest jej najbliższa przyjaciółka. Tyle lat, tyle wspólnych przeżyć, radości, smutków, łez i śmiechu. Znowu jakiś gwizd i głos z głośnika – jedziesz za blisko drugiego samochodu, natychmiast zwolnij. – Pocałuj się w dupę – odpowiedziała. Jak tylko się uspokoi, zadzwoni do Mai, ale najpierw musi się wyciszyć. Znowu gwizd i głos z głośnika – nie jesteś w stanie prowadzić samochodu. Zjedź na bok, za chwilę wyłączę silnik. Zatrzymała samochód, wyjęła rower, kopnęła koło i dalej ruszyła na rowerze.

Doskonale znała to miejsce, była tu już wiele razy. Wartki strumyk płynął środkiem rozległej polany. Kolorowe kwiaty zdobiły zielony dywan, nad mim hasały beztroskie motyle. W górze błękit, a wokół cisza. Tylko szum strumienia i ta woda: przezroczysta, łagodna, kojąca. Bianka mogła patrzeć na każdy kamyk, jak po nim spływa woda, jak się wije, kurczy i rozplata, wyrównując chropowatą powierzchnię łagodnym potokiem. Słońce odbija się na falach tysiącem iskierek, a te rozpływają się w lekkiej mgle.

Bianka rozebrała się i zanurzyła w strumieniu. Najpierw aż syknęła z zimna. Rozluźniła mięśnie, znała ten chłód, nieraz kąpała się w lodowatej wodzie. Wiedziała, że po pierwszym szoku ciało przyzwyczai się do chłodu i poczuje ukojenie. Przymknęła oczy. Wraz ze spływającą wodą spływało z niej napięcie. Tak, wolno, cicho, spokojnie. I to słońce, ten szum. I kwiaty na łące…

***

Maja obudziła się pełna niepokoju, źle spała. Co ona tam wczoraj nagadała? Miała złe przeczucia. Bianka może studiować prawo, używać AI, ale przecież jest wrażliwa. Inaczej nie mogłaby być jej przyjaciółką. Zadzwoni i ją przeprosi. Wyskoczyła z łóżka i wzięła komórkę. A tu nic, rozładowana bateria. Trzeba ją włączyć na kilka minut. Ładowarka, gdzie jest ładowarka? Cholera, gdzie ją teraz posiała? Wywaliła wszystko z torebki, zajrzała do kuchni, łazienki. Musi pójść do sąsiadki. Ubrała się, zaczęła ścielić łóżko i Eureka! Znalazła się ładowarka. Pod poduszką. Skąd się tam wzięła? Wczoraj trochę popiła, ale ładowarkę pod poduszkę? Nieważne.

Reks wskoczył na łóżko. Właśnie, musi go nakarmić i wyjść z nim do parku. Przynajmniej komórka się naładuje. Może Bianka dzwoniła, a tu telefon martwy. Szybko się ubrała, rzuciła psu jedzenie do miski, kiedy skończył jeść, wyszli do parku. Ale na krótko. Po powrocie już się ekran świecił, ale wiadomości nie było. Wybrała numer Bianki. Nie było odpowiedzi, to dziwne, ona zawsze ma komórkę włączoną. Zwłaszcza w środku dnia, na pewno. Maja zadzwoniła powtórnie. Nie było odpowiedzi, telefon był włączony, musiał dzwonić, ale nikt nie odpowiadał. Coś się musiało stać. Owszem, wczoraj się spięły, to tym bardziej powinna odebrać. Nawet gdyby poszła biegać, to by odebrała. Bianka nigdy nie rozstawała się z komórką. Spróbuje jeszcze raz, jeśli nie będzie odpowiedzi, zadzwoni na policję. Oni mogą namierzyć lokalizację komórki.

Miła policjantka okazała dużo wyrozumienia. Oddzwoniła po kilku minutach. Komórka znajdowała się niedaleko miasta, na łące przy strumieniu. Maja znała te okolice, kiedyś była tam z Bianką. To było jej ulubione miejsce, oaza, do której lubiła uciekać od świata. Czasami jeździła tam na rowerze. Maja powiedziała o tym policji, martwiła się, bo jej przyjaciółka zawsze odbiera telefon, a tym razem milczy. Może ktoś ją napadł, może coś się jej stało. Policja potraktowała sprawę z pełną powagą. Powiedzieli Mai, że wyślą dron z kamerą i zaraz będą mogli ocenić sytuację.

Maja nerwowo chodziła po pokoju, czekając na telefon. Zadzwonił po chwili. Dzwonili z reklamą samochodów. Maja zaklęła i przerwała połączenie. Reks z niepokojem śledził dziwne zachowanie swojej pani. Ponowny telefon. Zgadza się, jakaś młoda kobieta leży w strumieniu, wygląda na nieprzytomną. Ambulans jest już w drodze.

Maja wybiegła do auta i wkrótce była już na szosie. Na szczęście było to niedaleko, a o tej porze nie było dużego ruchu. Kiedy dotarła na miejsce, z daleka ujrzała światła ambulansu. Bianka leżała na noszach opatulona grubym kocem, a pielęgniarka podawała jej coś do picia. A więc żyła. Maja odetchnęła z ulgą. Dopiero teraz zauważyła leżący obok rower. Podbiegła do leżącej. Bianka miała już oczy otwarte, chociaż jeszcze nie bardzo przytomne. Na widok przyjaciółki jej twarz się ożywiła, coś szeptała. Maja kucnęła i mocno przytuliła przyjaciółkę. Na twarzy poczuła zimny policzek leżącej i chyba coś wilgotnego. Bianka wyjęła rękę spod koca i objęła Maję. Pielęgniarka uśmiechnęła się dobrotliwie.

Dwór Skrzynki zaprasza na lato pełne muzyki, kina, sztuki i smaków

Koncerty inspirowane twórczością Marka Grechuty, Leonarda Cohena i zespołu Breakout, występy wybitnych artystów sceny muzycznej, letnie kino pod gwiazdami, rodzinne pikniki, wystawy, spektakle oraz spotkania z regionalną kulturą i kuchnią – tak zapowiada się lato 2026 w Dworze Skrzynki (gm. Stęszew, powiat poznański).

Lato w historycznym otoczeniu

Dwór Skrzynki, siedziba Instytutu Skrzynki – Instytutu Dokumentacji, Rozwoju i Promocji Dziedzictwa Kulturowego i Kulinarnego Powiatu Poznańskiego, od kilku lat rozwija swoją ofertę jako miejsce spotkań kultury, historii, edukacji i regionalnych smaków. Zabytkowy obiekt wraz z otaczającym go parkiem stał się przestrzenią wydarzeń artystycznych, konferencji, warsztatów i spotkań integrujących mieszkańców regionu oraz gości z całej Polski.

Letni program przygotowany na 2026 rok łączy muzykę, sztukę, teatr, film oraz kulinaria. To propozycja dla osób poszukujących zarówno kameralnych wydarzeń artystycznych, jak i rodzinnej rozrywki w wyjątkowym otoczeniu.

Muzyczne lato pełne emocji

Sezon koncertowy rozpoczął się już w czerwcu występem zespołu Kilka Czułości. W kolejnych tygodniach publiczność usłyszy między innymi utwory zespołu Breakout w wykonaniu grupy Break Night, koncert jubileuszowy Zespołu Pieśni i Tańca „Wiwaty", a także program „Ocalić od zapomnienia", poświęcony twórczości Marka Grechuty.

Sierpień przyniesie kolejne muzyczne spotkania. W repertuarze znajdzie się koncert „Hallelujah. Tribute to Leonard Cohen", występ Bartasa Szymoniaka z programem „Wojownik z Miłości", a także koncert legendarnej Wolnej Grupy Bukowina. Wakacyjny cykl zakończy koncert literacko-kabaretowy Klubu Szyderców BIS z udziałem Artura Andrusa.

„O Miłości, po francusku" – wyjątkowy wieczór w międzynarodowej odsłonie

Jednym z najważniejszych wydarzeń tegorocznego lata będzie koncert „O Miłości, po francusku", który odbędzie się 15 sierpnia o godz. 19.00. Wydarzenie organizowane jest we współpracy ze Sceną Polską w Holandii – partnerem od lat promującym polską kulturę poza granicami kraju.

Na scenie Dworu Skrzynki wystąpi Duet AD-ORÉ, tworzony przez artystów związanych z Belgią i Holandią. Program koncertu zabierze publiczność w muzyczną podróż

przez świat francuskiej piosenki, pełnej elegancji, romantyzmu i subtelnych emocji. Nie zabraknie utworów inspirowanych tradycją chanson française, która od dekad zachwyca słuchaczy na całym świecie.

Wieczór będzie okazją do spotkania kultur, języków i muzycznych tradycji. Kameralna atmosfera zabytkowego dworu, letni nastrój oraz wyjątkowy repertuar sprawią, że koncert stanie się jednym z najbardziej nastrojowych wydarzeń sezonu.

Kino pod gwiazdami i wydarzenia dla całych rodzin

Lato w Dworze Skrzynki to nie tylko koncerty. Tradycyjnie powraca Kino Letnie, które w tym roku poświęcone zostało kultowym filmom muzycznym i biograficznym. Wśród prezentowanych tytułów znalazły się między innymi „Amadeusz", „Mamma Mia! ", „Hair", „Blues Brothers", „Bohemian Rhapsody", „Grease", „Elvis", „La La Land", „Rocketman" oraz „Narodziny gwiazdy".

W programie nie zabraknie także wydarzeń plenerowych. Już 5 lipca odbędzie się rodzinny piknik „Dzień Otwartych Skrzynek", podczas którego zaplanowano koncerty, warsztaty, spektakle i atrakcje dla dzieci, dorosłych oraz seniorów. Miłośnicy strategicznej rywalizacji będą mogli wziąć udział w Turnieju Szachowym o Puchar Starosty Poznańskiego.

Przez całe lato dostępna będzie również wystawa prac Jacka Gulczyńskiego prezentowana w Galerii Dworu Skrzynki.

Miejsce, które łączy kulturę i regionalne smaki

Bogaty program wakacyjnych wydarzeń potwierdza, że Dwór Skrzynki pozostaje jednym z najciekawszych ośrodków życia kulturalnego w regionie. Łącząc działalność artystyczną, edukacyjną i kulinarną, instytucja tworzy przestrzeń spotkań dla mieszkańców Wielkopolski i gości odwiedzających powiat poznański.

Warto pamiętać, że wizytę na wydarzeniach można połączyć z odkrywaniem regionalnej kuchni serwowanej w restauracji Dworu Skrzynki, promującej lokalne produkty i tradycje kulinarne regionu.

Szczegółowy program wydarzeń oraz bilety dostępne są na stronie internetowej Dworu Skrzynki www.dworskrzynki.pl.
DWÓR SKRZYNKI, Pl. Parkowy 1, 62-064 Skrzynki, gm. Stęszew
Serdecznie zapraszamy do wspólnego spędzenia lata w Skrzynkach.

AD-oré

La Chanson Française et l'amour

Trasa Koncertowa AD-oré 2026 w Polsce

Po zeszłorocznym, absolutnie magicznym debiucie duetu AD-oré w Polsce, belgijscy artyści wracają do naszego kraju w wielkim stylu!
Alicja i Dominique połączyli to, co pozornie nie do pogodzenia: królewska, eteryczna harfa z ciepłą, pełną duszy gitarą, Efekt? Niezwykle intymna, wzruszająca i filmowa podróż przez francuską chanson, nostalgiczne wspomnienia i uniwersalne historie o miłości, tęsknocie i pięknie.

Nie przegapcie tej wyjątkowej trasy! Szczegóły koncertów w poszczególnych miastach:

Dwór Skrzynki

15 sierpnia 2026 godz. 19.00
„O miłości po francusku"
Dwór Skrzynki
Plac Parkowy 1, 62-060 Skrzynki
Bilety: https://dworskrzynki.pl/bilety/

JCK

16 sierpnia 2026 godz. 19.00
„Voyage et Destinations"
Jeżyckie Centrum Kultury
ul. Jackowskiego 5-7, 60-508 Poznań
Info: jck.poznan@gmail.com
Tel. 695 596 150

26 sierpnia 2026 godz. 19.00
„La chanson française et l'amour"
Piwnica pod Baranami
Rynek Główny 27, 31-010 Kraków
Bilety: https://eventon.click/event/la-chanson-francaise-et-lamour/

28 sierpnia 2026 godz. 19.30
„La chanson française et l'amour"
Klub Piwnica „Przepraszam"
Ul. Krakowska 2, 33-100 Tarnów
Bilety: https://piwnicaprzepraszam.pl/pl/

6 września 2026 r. godz. 19.00
„O miłości po francusku"
Kalinowe serce
Krasińskiego 25, 01-502 Warszawa
Rezerwacje: 887 333 383

11 września 2026 godz. 19.00
„Wieczór francuski – dinner-concert"
KLUB 58
Galeria Mallwowa, Piętro I
ul. Malwowa 162, 60-185 Poznań
Bilety: rezerwacje@klub58.pl

Zapraszamy!

REZERWACJE • BILETY • INFORMACJE
Szczegóły koncertów w poszczególnych miastach znajdziecie na stronach W/W.
Do zobaczenia na naszych koncertach!

PATRONAT MEDIALNY
Scena Polska w Holandii

FPFF

51. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH

21-26.09.2026 GDYNIA